

Kwiaty dla umarłych.

to koniec
za chwilę odejdę
choć nikt tego nie zauważy
bo już dawno uznali mnie za umarłego
lub zmienili tak że sam obawiam się swego obrazu
miało być inaczej
zamyś był zupełnie inny
lecz nigdy nie mogłem
i dalej nie mogę nic zrobić
poza czekaniem i słuchaniem
nie chcę patrzeć na świat który runie w ogniu i huku nienawiści
w burzy bólu
wszystko niepotrzebne
bez celu
wszystko na nic

skreślę te słowa i pozostawię w szumie ostatnich drzew
okruszkach miłości
i rachitycznym blasku słońca
a nikt ich nie zauważy
przeoczą je lub zniszczą jak wszystko inne co ode mnie otrzymali

to ostatni list który zostawiam pod twymi drzwiami
zapewne zdepczesz go jak poprzednie
lecz pamiętaj że czekam na twój głos

to ostatni list
teraz odchodzę

Widziałem odchodzących aniołów. Byli przygnębieni, ich twarze, niegdyś pełne blasku, teraz wyrażały smutek. Powędrowałem za nimi aż na sam kraniec. Stamtąd rozciągała się świetlista droga bez końca. Obserwowałem jak wchodzili na nią i powoli znikali w ciemności. Dwóch zamykających pochód zatrzymało się przy mnie. Ich szaty nie lśniły, skrzydła były opuszczone. „Nie szukajcie umarłego wśród żyjących – powiedział jeden z nich. – Nie ma go tutaj.” Spojrzeli posępnie za siebie po raz ostatni i odeszli.

„Umarli mają twarze i serca z kamienia”, napisał niedbale Mateusz i odłożył pióro. Płomyk świeci migotliwie oświetlał słowa na papierze. Mateusz zapatrzył się w okno. Te kilka wyrazów, prześladowało go od dłuższego czasu. Nie niosło ze sobą jednak nic. Przypominało pociągnięcie pędzla na płótnie; plamę farby, do której nic więcej nie pasuje. Dziesiątki razy spisywał to zdanie w nadziei, że napłyną kolejne, lecz bezskutecznie. Mijały dni, wypełnione pogniecionymi kawałkami papieru, zimną kawą, suchymi bułkami i wpatrywaniem się w brudną, pokrytą siatką pęknięć ścianę, a zdanie pozostawało samotne jak martwe drzewo pośrodku pustkowia – i było równie bezowocne.

Z początku wydało się Mateuszowi pełne znaczeń, przychodziło mu do głowy wiele pomysłów, lecz gdy chciał cokolwiek dopisać, wydawało mu się to miałkie, wyprute z artystycznej głębi i lotności charakterystycznej dla poezji. Słowa, które wpadły mu do głowy zupełnie przypadkiem, gdy szedł zaśmieconą ulicą obserwując mijających go ludzi stały się obsesją i przekleństwem zarazem. Jakby ktoś zadrwił sobie z Mateusza dając mu klucz, a teraz obserwował gorączkowe

poszukiwania drzwi, które mógłby nim otworzyć. Był poetą pozbawionym natchnienia. Nie miał nic.

Wielokrotnie doskwierał mu brak weny, lecz tym razem podejrzewał, iż to było coś innego. Palące przeczucie podpowiadało gdzieś w głębi, że za tymi słowami nie ma już nic. Stanowią koniec wszystkiego, co Mateusz dotychczas napisał. „Reszta jest milczeniem.” Czy to możliwe, zastanowił się, czy można dojść do takiego stanu, gdy wszystko zostało powiedziane, zrobione? Że nie istnieją już słowa zawierające treść? Czy właśnie tak wygląda koniec? Po co więc budzić się rano, po co szukać życia, jeśli traci ono sens z momentem, gdy słowa nie mają już znaczenia. Słowa są wszystkim. Bez nich nie ma nic.

Zgniółł kartkę i ze złością rzucił do kosza.

-Gównu!

Muszę się przejść, zdecydował i zdjął okulary. Zamknął oczy i przetarł je dłońmi. Ubrał kurtkę i ruszył do wyjścia. Zatrzasnąwszy za sobą drzwi zdecydowanym krokiem skierował się w kierunku schodów.

Malwa właśnie skończyła brać kąpiel i nago, z ręcznikiem w dłoni, wciąż ociekając wodą weszła do pokoju. Lubiła, gdy woda wysychała na ciele, spływając powoli kropelkami. Lubiła czuć się czysta. Mokre ślady stóp lśniły na drewnianej podłodze. Usiadła na oparciu fotela i zaczęła wycierać włosy; leniwie, bez pośpiechu, aby możliwie jak najbardziej wydłużyć chwile spokoju i samotności. Wsłuchiwała się w cichą jazzową muzykę dobiegającą z radia. Atmosfera kołysała i pozwalała zapomnieć. Malwa wysuszyła włosy i usiadła w fotelu, zamknęła oczy. Mogłaby tak trwać bez końca, zapadając się w siebie, w ciszy, nie myśląc o niczym. Wtedy była daleko od tego świata, miejsca, w którym mieszkała i od

siebie. Ospale podniosła powieki i spojrzała w okno. Na zewnątrz zapadała noc. Początek dnia. Wiatr pędził stalowe chmury po niebie wyjąc smętnie. A gdyby tak noc miała się już nigdy nie skończyć, pomyślała, życie stałoby się piekłem. Ale przecież tak naprawdę dla niej noc nigdy nie dobiega końca. Spróbowała przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz widziała światło słońca, słyszała śpiew ptaków. Dwa, trzy, a może nawet pięć miesięcy temu? Nie liczyła przeciekającego przez palce czasu. Więc, czy może być jeszcze gorzej? Uśmiechnęła się ponuro.

Wstała z ociąganiem. Podeszła do szafy i wyciągnęła z szuflady bieliznę, wróciła do łazienki. Gdy skończyła się ubierać stanęła przed lustrem. Moja twarz, moje puste oczy, przepiękne usta i spięrzzone życie, oto wszystko, co mam. Nie potrafię już nawet siebie nienawidzić, nie potrafię nienawidzić fagasów płacących za godziny spędzone z moim cudownym ciałem. Nienawidzę tylko tych, którzy mnie na to skazali. Czyli właściwie kogo?

Otworzyła szafkę i sięgnęła do środka. Na moment zatrzymała się przy pudełeczku z pudrem. Cofnęła jednak dłoń i z niższej półki wzięła żyletkę. Metal był chłodny. Podniosła przedmiot do oczu i przyglądała się mu ciekawie. Przyłożyła żyletkę do nadgarstka. Wzdłuż żył, pamiętaj, nigdy w poprzek - takie były ostatnie słowa, jakie usłyszała od pijanej matki.

Ciekawe, czy to boli, zastanowiła się? Na pewno nie bardziej niż zasrane życie, na pewno nie mocniej niż wysprzedawanie swej osoby kawałek po kawałku w jękach, zapachu potu i wymiocinach. Nie ma nic gorszego niż wydzieranie z siebie tego, czego już od dawna nie ma. Boże, tak przez chwilę nic nie czuć, nie pragnąć, nie mieć żalu, odpływać dalej i dalej pośród gęstniejącego mroku. Gdy wszystko

pulsuje coraz wolniej, w rytm zatrzymującego się serca. Kocham tą chwilę, gdy nie ma już nic. Odłożyła żyletkę na miejsce. Jeszcze nie dziś, pomyślała, wkrótce.

Jeszcze nie teraz.

Wzięła do ręki puderniczkę.

Gdy makijaż był już gotowy wróciła do pokoju i skończyła się ubierać. Spojrzała na elektroniczny zegar stojący na telewizorze, wyświetlał dwudziestą trzecią piętnaście. Wyłączyła radio. W przedpokoju narzuciła płaszcz, zgasiła światło i wyszła z mieszkania.

Na korytarzu panował zawieszisty półmrok. Malwa podeszła do przeciwległej ściany i spróbowała wymacać włącznik światła. Bezskutecznie. Tam, gdzie zawsze się znajdował był tylko porowaty mur.

- Co jest, do jasnej...! Nawet to ukradli? W tym bloku już niedługo nic nie zostanie.

Odwróciła się, aby zamknąć drzwi do swego mieszkania, lecz wtedy zdała sobie sprawę, że ich również tam nie ma. Co gorsza, zrozumiała, że miejsce, w którym się znalazła nie było jej domem.

- Niech to diabli! – krzyknęła zdenerwowana. – Gdzie ja do cholery jestem?!

Zamiast schodów Mateusz napotkał ścianę. Rozejrzał się nerwowo. Czyżbym pomylił kierunki, piętra? Zaraz, zaraz... Nie! Wyszedłem z mieszkania, skręciłem w prawo, około dziesięciu metrów i po lewej stronie powinny znajdować się schody, jedne wiodące do góry, drugie na dół. Tu nie powinno być, kurwa, ściany! Popatrzył w kierunku

drzwi do swego domu, zdało mu się, że w ich miejscu nie znajduje się nic. Podbiegł tam. Rzeczywiście - ściana. Nie rozumiem!

Gdzie są moje okulary? Sięgnął do kieszeni, lecz przypomniał sobie, że zostawił je na biurku. Czując narastającą panikę rozejrzał się wokół. Wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Żadnych okien ani drzwi na korytarzu i sam korytarz był jakiś inny. Kończył się tam, gdzie powinny być schody, za to w drugą stronę ciągnął się, zdawałoby się, w nieskończoność. Gdzieś na samym końcu błąkał się nikły blask. Nagle zwrócił uwagę na barwę światła. Nie było tu ciemno, ani jasno, panowała nieprzyjemna szarość. Zapadła już noc, więc na korytarzu powinno być ciemno. Nie licząc światełka na końcu korytarza, które było zbyt słabe, aby oświetlić tak ogromną przestrzeń, nie paliła się ani jedna żarówka. Jakim cudem można w takim razie tu cokolwiek zobaczyć?! Doznaje halucynacji? Śpię? Albo...

- Całkiem mi odjechało! – powiedział do siebie zupełnie niepoetycko, lecz wcale go to nie rozbawiło. Wręcz przeciwnie, wiedział, że z nim wszystko w porządku, czuł to. Lecz jak wyjaśnić to, co się stało. – I co to, kurwaaa, za miejsce?!!!

Nagle w głębi rozległ się dziwny hałas. Po plecach Mateusza przebiegł chłodny dreszcz. Zaczynał się bać. Wytężył wzrok, lecz niczego nie dojrzał. Ostrożnie ruszył w kierunku skąd dobiegł odgłos. Teraz jednak znów było cicho. Nie zwrócił wcześniej uwagi, że panowała tu niemal idealna cisza. Żadnego szmeru, słyszał jedynie swój przyspieszony oddech, szybkie bicie serca i szelest kroków. Wytarł spocone dłonie o spodnie. Powoli skradał się przy ścianie w głąb korytarza, wciąż próbując cokolwiek dojrzeć i nagle zauważył, że po lewej stronie znajduje się odnoga. Znowu odgłos, czyjś oddech. Krew coraz gwałtowniej tłukła o bębunki. Wtem tuż obok usłyszał poruszenie.

Co ja tutaj robię?, zdążył pomyśleć Mateusz, gdy zza rogu wypadła ciemna postać. Ktoś rzucił się do jego piersi i mocno chwycił w pasie. Mateusz z zaskoczenia znieruchomiał. Uciekaj w cholerę!, krzyczał głos w głowie, lecz on nie był w stanie wykonać najmniejszego ruchu. Druga osoba ciężko sapała, lecz nie wyglądało na to, aby chciała mu zrobić krzywdę. Chciał się otrząsnąć, już podniósł ręce, gdy nieznajomy odezwał się błagalnym głosem:

- Zabierzesz mnie do domu? – przy tym podniósł głowę i spojrzał Mateuszowi w oczy. To był młody chłopiec, na oko osiemnaście lat. Kiwał się autystycznie. Chyba jest kaleką, pomyślał Mateusz. Chłopak się garbił, jego ciało było nienaturalnie powykrzywiane, miał mętne spojrzenie i ślinił kurtkę Mateusza.

- Co tutaj robisz?

- Chcę do domu, to nie jest złe miejsce – chłopak przewracał oczami na wszystkie strony, był bardzo niespokojny – ale ja chcę do domu. Zabierzesz mnie z powrotem?

- Tak... zabiorę – Mateusz przyjrzał się uważnie obcemu, miał opuchnięte i zaczerwienione powieki, do tego pociągał nosem, chyba przez dłuższy czas płakał. – Pamiętasz, którędy tu przyszedłeś?

- Bałem się, byłem cicho, ale to nie jest złe miejsce, nie mogłem być zły, trochę się bałem. Wrócimy do domu?

- Zastanów się chwilę... Jak masz na imię?

- Michał, mam na imię Michał, ładne? Bo chłopaki wołają na mnie pawian. Powiedz... Michał jest ładne? Jak ładne to, czemu pawian? Pawian to małpa. Głupia małpa... Jestem Michał.

- Michał. Bardzo ładne imię. Ja nazywam się Mateusz. – Jak z nim rozmawiać?, zastanawiał się. - Więc powiedz, Michał, pamiętasz skąd przyszedłeś i jak się tu znalazłeś?

Chłopak znieruchomiał i zamyślił się. Po chwili pociągnął gromko nosem i długim pociągnięciem nadgarstka wytarł go. Jego twarz pojaśniała nagle i wykrzyknął radośnie:

- Wiem! – Ślina obficie spływała mu po podbródku.

- Dobrze, więc powiedz, którądy tu przyszedłeś.

- Bo ja już spałem, ale wtedy zachciało mi się siku. Wstałem i poszedłem do ubikacji. Wyszedłem z pokoju, ale ubikacji tam nie było. Więc zacząłem jej szukać. Poszedłem w lewo, potem znowu w lewo, daleko, daleko, a potem w prawo, a potem... - zawiesił głos i speszony spuścił głowę.

- Tak? Pamiętasz, co było dalej?

- Potem, już nie wytrzymałem i obsiusiałem ścianę. Nie będziesz zły? Naprawdę nie mogłem już wytrzymać. Nie gniewaj się, proszę. – Spojrzał na Mateusza błagalnie.

- Oczywiście, nic się nie stało. Nie mogłeś na to nic poradzić. – Przyjrzał się Michałowi, miał rozbiegane, ogromne błękitno-niebieskie oczy, poszargane włosy. Nosił flanelową pidżamę w paski. Bose stopy wykrzywiały się na zimnej podłodze. Schylił się i zdjął buty. – Masz, załóż, nie będzie ci zimno w stopy. Ja mam jeszcze skarpetki.

- Aaaale ja nie mogę, to twoje buty.

- Nie przejmuj się, załóż i spróbujemy trafić do domu. Zgoda?

Michał kucnął i niezdarnie próbował założyć obuwie.

- Zgoda. A zawiążesz mi sznurówki? Ja nie umiem.

Gdy już uporali się z butami, które na chłopaka były nieco za duże, Mateusz zajrzał do korytarza, z którego wybiegł Michał. Wyglądał dokładnie tak samo, jak ten, w którym byli teraz – ciągnący się bez końca tunel, na którego końcu jaśniało blade światło. Zbyt odległe, aby do niego dojść.

- Pamiętasz dokładnie drogę? – zapytał.

- Yhm, kilka razy w lewo, i kilka w prawo. I już będziemy w domu. Trochę się zgubiłem, ale zaprowadzisz mnie prawda?

- Prawda. – Nie brzmi to za dobrze, pomyślał, jeśli gdziekolwiek trafimy, to najprawdopodobniej do podobnych tuneli. Przecież ten dzieciak nie ma najmniejszego pojęcia, gdzie się znajduje. – Michał, byłeś tu już kiedyś?

- Nie. Nigdy tu nie byłem. W moim domu nie ma takich przedpokojów. To musi być dom kogoś bogatego, co nie? Kiedyś takie widziałem w gazecie. Musi być ktoś bogaty.

- Spróbujemy go też poszukać, może wskaże nam drogę. – Starał się nadać swemu głosowi pewności, lecz w głębi z trudnością przyznawał się do faktu, że jeszcze nigdy tak się nie bał. – Chodźmy!

Wędrowali już od dobrych paru godzin, klucząc po identycznych tunelach wiodących niewiadomo gdzie. Tak jak podejrzewał Mateusz, drzwi do mieszkania Michała nie znaleźli. Najprawdopodobniej chłopak trafił w to miejsce tak samo jak on, przypadkiem. Więc i jego drzwi w podobny sposób musiały zniknąć. Do tego z pewnością zgubił drogę. Mateusz uporczywie głowił się, cóż to za labirynt? Sieć przecinających się korytarzy bez końca. Czy to jakiś sen, pułapka, konkurs telewizyjny, o którym uczestnicy nie mają najmniejszego pojęcia? Jak na marzenie senne wszystko wokół było zbyt spójne, jasne, zbyt rzeczywiste. Jeśli znaleźliby się w pułapce, już dawno coś powinno się im stać. Może właśnie teraz miliony widzów popijających piwo ogląda ich wędrowkę, obstawiając, co dalej będzie – skręcą w lewo, czy w prawo? Załamią się, czy będą błdzić dalej szukając wyjścia? To wszystko było

pozbawione sensu. Jak bowiem wytłumaczyć fakt, że nagle zamiast klatki schodowej znajdujesz korytarz do nikąd? A do tego do domu wrócić nie sposób. Albo wychodzisz do toalety i ni stąd ni zowąd zdajesz sobie sprawę, że jesteś w miejscu, którego nigdy nie widziałeś, o którym nigdy nie słyszałeś. Gdzie logika? Gdzie znane realia? Przecież takie rzeczy się nie zdarzają! Nic nie dzieje się ot tak, bez przyczyny. Może to jednak rzeczywiście jakiś program telewizyjny. Mateusz spróbował sobie przypomnieć, czy słyszał coś ostatnio o podobnym teleturnieju. Telewizora nie posiadał, ale o czymś zakrojonym na tak wielką skalę powinno być głośno. Musiało mu się obić o uszy. Gorączkowo szukał w pamięci słów zasłyszanej gdzieś reklamy radiowej, obrazu z billboardu, strzępków rozmów z tramwaju. Nic. Zupełna pustka.

A może oni działają z zaskoczenia? Gdyby ludzie mogli się spodziewać uczestnictwa w takim teleturnieju, zanikłoby wiele czynników wpływających na atrakcyjność programu – poczucie osaczenia, zagubienie, strach. Mateusz przyjrzał się uważniej mijanym murom, lecz nigdzie nie mógł dostrzec żadnych kabli, dziur, ani tym bardziej kamer. Ściany, czasem gładkie, czasem porowate, lecz nic ponad to.

Gdy doszli do następnego przecięcia korytarzy, zaczął zastanawiać się czy przypadkiem nie chodzą w kółko. Wszystkie tunele wyglądały dokładnie tak samo, po pewnym czasie zaczęły się zlewać w jeden nieskończony korytarz.

- Michał.
- Hę?
- Czy my już tu byliśmy?
- Tu? Nie.
- Nie? Skąd wiesz?
- Ślady, zobacz Mateusz na ślady, nie ma śladów, nie byliśmy tu.

No tak! Kurz, czemu wcześniej o tym nie pomyślał?! Czemu wcześniej tego nie zauważył? Pieprzone okulary! Że też musiał je zostawić w domu!

- Wiedziałeś o tym od początku?

- Niedawno zauważyłem, że robisz takie śmieszne stopy, gdy idziesz. Widzisz? Całe stado stóp za nami. – Michał uśmiechał się szeroko. Przestał się ślinić.

- Więc może po śladach trafimy do twego mieszkania!

- Do domu, do domu, więc chodźmy. – krzyknął.

- Będziesz patrzył uważnie i prowadził, dobrze? Tylko patrz uważnie.

- Patrz uważnie, dobrze!

Zawrócili. Przeszli kilkadziesiąt metrów. Michał zatrzymał się i podszedł do ściany.

- Niedobrze, Mateusz. Nasze ślady przechodzą przez ścianę. Chyba nie damy rady iść po śladach.

- Nic nie rozumiem! Jak to możliwe, że nagle miejsce, z którego przyszliśmy zniknęło za ścianą? – Roześmiał się głośno, gdy dotarło do niego, co właśnie powiedział. Przecież tak dzieje się od początku. – Cóż, nie pozostaje nam nic innego, Michał, jak iść dalej.

- Dalej? Nie do domu? Czemu dalej? Wróćmy do domu, proszę, Mateusz. Tam są moje kwiaty. Beze mnie zginą. Widzisz, ich nie ma kto podlewać. Są takie piękne... całe białe. Białe jak śnieg. Proszę, Mateusz, ja muszę...

- Słuchaj, tędy nie wrócimy, ale jeśli pójdziemy dalej tą drogą, jest szansa, że znajdziemy stąd wyjście.

- Dobrze. – odparł niechętnie Michał i poczłapał przed siebie.

Udali się w kierunku skrzyżowania skąd ostatnio zawrócili i ruszyli dalej. Gdy się głębiej zastanowić, myślał Mateusz, wygląda na to, że po przejściu jakiegoś odcinka tuneli, przejście zamyka się uniemożliwiając powrót. Pytanie brzmi, czy to dobrze, czy źle? Może jednak istnieje jakiś cel, do którego zmierzamy? Kto, lub co, w takim razie wskazuje drogę? Czy to możliwe, że sama budowla, w której się znaleźli kierowała ich do wyjścia? Jeśli rzeczywiście do niego zmierzali.

Michał szedł w milczeniu patrząc pod nogi. Minęli kilka kolejnych łączników. Mateusz co jakiś czas oglądał się w nadziei, że usłyszy odgłos zamykającego się przejścia w ścianie. Lecz w korytarzach wciąż panowała niezmacona, głucha cisza. Musieliśmy przejść z kilka kilometrów, jeśli to jakiś budynek, musi być ogromny, myślał. Czy w mieście jest jakaś, aż tak duża budowla? Nic takiego sobie nie przypominał, wieżowce, drapacze chmur i biurowce owszem, ale one były wysokie. I to właśnie dlatego, aby oszczędzić przestrzeń. Ów fakt jednak niczego nie dowodził, labirynt mógł równie dobrze znajdować się pod ziemią. Nagle wpadła mu do głowy zaskakująca myśl.

- Michał. Nie jesteś głodny? Chodzimy tu już od kilku godzin.
- Nie, Mateusz, nie chce mi się jeść. Sam zjedz.
- A nie zmęczyłeś się? Może chcesz usiąść i odpocząć trochę.

Możesz się nawet zdrzemnąć.

- Nie jestem zmęczony. Chcę tylko do domu. Ale możemy się zatrzymać, jak chcesz spać. Chcesz?

- Nie, i to mnie dziwi. – Musiało już świtać. Nie miał zegarka, ale od co najmniej sześciu godzin kluczyli pośród tuneli. Nie zatrzymywali się ani razu. Powinni być głodni, a przynajmniej zmęczeni, zwłaszcza, że mijała noc, podczas której nie zmrużyli oka. Dziwne. Nie była to jednak pierwsza dziwna rzecz tej nocy.

Nagle gdzieś niedaleko rozległo się ciche pochlipywanie.

- Słyszałeś? – Mateusz ściszył głos. Znów poczuł na plecach dreszcze.

- Tak. Ktoś płacze. Chodźmy zobaczyć. – Odparł szeptem Michał i nie czekając na odpowiedź pokuśtykał szybkim krokiem włąb tunelu.

- Michał! Michał, zaczekaj...

Chłopak jednak nie reagował przyspieszając coraz bardziej. Mateusz puścił się za nim biegiem. Dotarli do następnej krzyżówki. W lewo odchodził nowy korytarz. Michał bez wahania zajrzał do środka, Mateusz zrobił to samo. Tym razem była to ślepa odnoga, wnęka nie dłuższa niż kilka metrów. Na jej końcu, pod ścianą siedziała skulona postać. Kobieta o czarnych włosach do ramion. Twarz miała ukrytą w dłoniach, łkała, chwytając spazmatycznie powietrze.

- Halo! – zaczął Mateusz myśląc przy tym, że to strasznie głupie tak wołać do płaczącej kobiety. – Wszystko w porządku? – to było nawet jeszcze głupsze.

Kobieta powoli podniosła głowę, miała opuchnięte oczy. Pod nimi czernił się rozmazany makijaż. Wtedy Michał rzucił się do niej.

- Malwina! Malwina! Ty też tutaj. Wiesz, jak iść do domu?

Ona patrzyła chwilę oszołomiona, jakby nie mogła zrozumieć, co się dzieje.

- Malwa! Poznajesz mnie?

Kobieta otworzyła szeroko oczy i zawołała z zaskoczeniem:

- Michał! Skąd się tu wzięłeś?

- Szedłem siku i...

- Nieważne! Chodź do mnie. – Przerwała wyciągając ręce i przygarnęła go mocno do siebie. Michał objął Malwinę i przytulił głowę do jej piersi.

Mateusz przyglądał się tej scenie i nie za bardzo wiedział, co powiedzieć. Malwina głaskała chłopca po głowie, szeptała, że wszystko będzie dobrze.

- Jak pani tu trafiła? – zaczął bez przekonania.

- Gdybym tylko wiedziała – odpowiedziała patrząc się w ścianę.

- Pewnie wyszła pani z domu, albo z pokoju, lecz za drzwiami nie było tego, co zawsze, a powrót nie był już możliwy, mam rację?

- Właśnie tak. Z tobą było tak samo?

- I ze mną i z Michałem również.

Chłopak podniósł się i powiedział:

- To Mateusz. Z nim tu chodziłem.

- Malwa. – wyciągnęła rękę.

- Miło mi. – odparł Mateusz. Pomyślał, że dziewczyna ma bardzo miękkie dłonie, tylko zbyt mocno pomalowane.

- Nie mogę powiedzieć tego samego. Miło to by mi było, gdybyśmy siedzieli teraz przy kawie w jakiejś knajpie. Podejrzewam, że nie masz najmniejszego pojęcia, jak się stąd wydostać?

- Niestety. – Spuścił głowę czując się jak uczeń, którego właśnie skarcono. W końcu poza upośledzonym chłopcem nie było w pobliżu innego mężczyzny. – Powinniśmy się trzymać razem. Może uda nam się znaleźć jakieś wyjście z tego miejsca.

- Malwina wie jak trafić do domu – niemalże wykrzyknął Michał. – Prawda? – Wlepił oczy w dziewczynę.

Spojrzała zakłopotana na Mateusza.

- Nie. – Zamknęła oczy.

Zaraz się znowu rozpłaczę, pomyślał Mateusz, poszukał w kieszeni chusteczek higienicznych, wyciągnął paczkę i podał Malwinie.

- Och! Pewno wyglądam okropnie. – Wysunęła jedną i zaczęła wycierać twarz.

Nie znoszę, kiedy kobieta płacze; nigdy nie wiem, co robić. Wrócił do korytarza i zapatrzył się w dal.

- Skąd znasz Michała?

- To mój sąsiad. Mieszkamy obok siebie.

- Czy to nie dziwne?

- Co?

- Że się znacie.

- Przypadek.

- Nie sądzę. Skąd jesteście?

- Z blokowisk w parku Thurbera.

- Pytam o miasto, nie mam najmniejszego pojęcia, gdzie jest park Thurbera.

- Dabyss. Ty nie?

- Nie, mieszkam na północy, Three Leaves. Widzisz? Coś w tym musi być. Nie przypadkiem znaleźliście się tutaj obydwójcie.

- Może jest nas więcej?

- Całkiem możliwe.

Ściany wydawały się nie mieć końca, gdzieś bardzo, bardzo daleko lśniło światło. Światelko na końcu tunelu, pomyślał ponuro Mateusz, gówno! Powoli zdawał sobie sprawę, że nie pozostanie im nic innego, jak droga aż do samego końca korytarza. Na oko mogło być z kilkanaście kilometrów.

- Próbowalaś szukać wyjścia?

- Przez dwie, może trzy godziny. W końcu usiadłam tutaj... Chyba chciałam tu zostać do końca – dobiegło z wnętrza.

- Końca?
- Myślałam, że nikt się nie pojawi. I to będzie mój koniec.
- Poddawaś się?
- A jest sens szukać dalej? Powiedz, błądzą tu od siedmiu godzin i co znaleźliście?
- Znaleźliśmy ciebie.
- Ach tak! Zapomniałam podziękować! Jestem wam niezmiernie wdzięczna. I co będzie dalej?
- Pójdziemy.
- Dokąd? Gdzie chcesz iść?
- Właśnie, nie zapowiadało się, żeby te korytarze prowadziły dokądkolwiek. Może są jedną wielką siecią tuneli bez końca? Pomysł na taką budowlę był beznadziejny, lecz ludzie popełniali już większe idiotyzmy.
- Nie mamy innego wyboru.
- Możemy tu zdechnąć. I muszę przyznać, że taka perspektywa jest nawet kusząca.
- Mówisz jakbyś tam, na zewnątrz nie miała do czego wracać.
- Może nie mam? Może mam gdzieś tamten świat i moje życie.
- Musi być coś, za czymś tęsknisz.
- Mylisz się, Mateusz. Nie zostawiłam tam nic.
- Mimo wszystko uważam, że powinniśmy iść. Nie zamierzam siadać pod ścianą i beczynn timer czekać końca.
- Zastanawiałeś się co to w ogóle za miejsce?
- Cały czas nic innego nie robię.
- I?
- Niczego podobnego w życiu nie widziałem.
- Ani ja. To wszystko jest bardzo dziwne.

Michał podniósł się z ziemi i podał Malwinie rękę. Wstała ciężko i otrzepała ubranie z kurzu. Dopiero teraz Mateusz zauważył, że miała na sobie krótką, obcisłą spódniczkę. Była ubrana elegancko, lecz raczej wyzywająco. Miała lekko zaokrągloną twarz, wydatne usta i pełne, piwne oczy. Ładna kobieta, pomyślał, naprawdę ładna.

Stanęli we trójkę w korytarzu.

- Czeka nas jeszcze kawał drogi – powiedziała. – Idziemy aż do końca? Zakładając, że w ogóle jest jakiś koniec.

- Idziemy do domu – niespodziewanie odparł Michał i ruszył pierwszy.

Malwina i Mateusz popatrzyli po sobie i podążyli za chłopakiem. Michał szedł bardzo szybkim krokiem. Po pewnym czasie znalazł się kilkanaście metrów przed nimi.

- Czemu wołają na niego pawian? – zapytał Mateusz szeptem, gdy wydawało mu się, że chłopak ich nie usłyszy.

- Jest upośledzony. To wystarczy, aby wywołać u rówieśników nienawiść. Dzieci potrzebują o wiele mniej, aby być okrutne. I przewisko to nienajgorsza rzecz, jaką mu sprezentowały.

- Jest kaleką od urodzenia?

- Nie. To właśnie była ich sprawka. Mieszkamy w robotniczej dzielnicy, są tam głównie sami bezrobotni. Biedne rodziny, rozpite, porzbijane i głupie, takie jak moja. Ludzie są gotowi na bardzo wiele za odrobinę wody, czy parę drobniaków. Dzieci od małego uczą się okrucieństwa. Od rodziców, od starszych kolegów. Michał był inny. To był mądry dzieciak, matka go wiele nauczyła. Koledzy go jednak nie lubili, nie pasował do nich. Wiesz, zamiast się bawić z nimi w tłuczenie kotami o ścianę oglądał kwiatki na podwórku. Nie znosili go. Deptali mu te kwiaty. Czasami go tłukli. Nigdy jednak poważnie, a on jakoś dawał

temu radę. Nigdy się nie skarżył, nigdy nie oddawał. I może to ich w nim najbardziej wkurzało. Michał był jak skała. Wciąż żył swoimi kwiatami.

Jednego wieczoru matka wysłała go wyrzucić śmieci. Koledzy spotkali go na klatce schodowej. Bez słowa zaczęli chłopaka tłuc, a nikt z sąsiadów nie zareagował. Gdy skończyli, zrzucili Michała ze schodów. Podobno wtedy podniósł zapuchniętą, zakrwawioną twarz i wybełkotał: „Nie chcieliście się ze mną bawić... wystarczyło powiedzieć”, po czym stracił przytomność. Wtedy jeden z nich wepchnął mu puszkę po piwie w usta. Po pewnym czasie nie mógł złapać oddechu, więc zaczął rzeźić. Jeden z nich krzyknął: „Patrzcie! Kwiczy jak pawian!”. Stali tam i sikali w gacie ze śmiechu. Nikt Michałowi nie pomógł. Dopiero matka zaniepokojona nieobecnością syna zaczęła go szukać. Gdy znalazła nieprzytomnego Michała, był już sam. Całe szczęście szybko przyjechało pogotowie. Jeszcze kilkanaście minut i umarłby. A może tak by było dla niego lepiej? Mieszkam za ścianą, co noc słyszę jego płacz.

Matka nigdy już się z tego nie otrząsnęła. Michał przytomności tak naprawdę też nie odzyskał. Zostały mu tylko kwiaty, zasadzone w wielkich donicach róże. Są dla niego wszystkim.

Mateusz milczał nie mogąc uwierzyć w to, co usłyszał.

- Chcesz tam wracać?

- Co z tymi, co mu to zrobili?

- A co miałoby być? Nie znaleziono żadnych świadków. Nikt niczego nie widział. Do dziś szwędają się po osiedlu..

- Matka?

- Umarła dwa lata później. On chyba nawet tego nie dostrzegł, wciąż mu się wydaje, że wyszła na spacer.

- Jak sobie daje radę?

- Kobieta z opieki społecznej przychodzi się nim zajmować. Poza tym, jak tylko mam możliwość przebywam z nim. Nie jest sam.

Pomagam mu, a on pomaga mi zapomnieć.

- Jest ci bliski.

- Jak nikt inny. Gdyby nie on już dawno by mnie tu nie było.

- Chciałaś wyjechać?

- Taaa. Wyjechać stąd jak najdalej.

Nagle chłopak zatrzymał się gwałtownie.

- Tam coś było – powiedział ze strachem w głosie, odwróciwszy się do nich. – Coś czarnego.

Mateusz z Malwą podbiegli.

- Czy to był człowiek? – Chyba rzeczywiście jest nas tu więcej, pomyślał Mateusz. – Ty coś zauważyłaś?

- Nie. Michał, czy to była jakaś osoba? Biegła? Stała?

- Nie wiem, boję się. To mignęło i już! Nie widziałem dokładnie.

Boję się. – Przytulił się z całej siły do Malwiny.

- Już, już. – Mówiła cicho – Nic tam nie ma, nie bój się. Jestem tu.

- Nie pozwól zrobić mi krzywdy.

- Nie pozwolę. – Spojrzała na Mateusza – Idziemy dalej?

- Bez sensu jest wracać. Poza tym nie wygląda, aby tam było jakieś niebezpieczeństwo. Poczekać tu. Pójdę sprawdzić, co tam jest.

- Poczekamy. Nigdzie ci nie uciekniemy, prawda Michał?

- Nigdzie!

Co za głupi pomysł, pomyślał Mateusz, gdy uszedł kawałek, a jeśli chłopak naprawdę coś zobaczył? Nie boję się, nie boję się... Obejrzał się i uśmiechnął kwaśno. Malwina również się uśmiechnęła. Poszedł dalej. Po chwili dostrzegł, że światło na końcu tunelu staje się coraz

blizsze. Przebył kilkadziesiąt kroków. Nie robiło się jaśniej, lecz koniec tunelu wydawał się przybliżać. Przyspieszył kroku.

- Chyba nie zamierzasz uciekać? – zawołała Malwa – Coś widzisz?

- Nie jestem pewien! – odkrzyknął – zaraz wracam! – Zaczął biec.

Stanął przed ścianą. Wydawała się lekko falować. Przypominała mgliste szkło. Delikatnie jaśniała. Przyjrzał się dokładniej. Za nią majaczyły bardzo niewyraźne kształty. Wyciągnął dłoń i koniuszkami palców dotknął powierzchni. Ręka zanurzyła się w chłodnym szkłe po nadgarstek.

- A to co? – Gwałtownie wycofał rękę. – Malwina, Michał! – krzyknął w głąb tunelu. – Chodźcie tu!

Po chwili rozległy się ich szybkie kroki. Gdy dobiegli dziewczyna zapytała:

- Co się stało?

- To chyba koniec naszego korytarza. – odparł Mateusz nie wiedząc, czy się z tego powodu cieszyć, czy wręcz przeciwnie.

- Ściana?

- Niezupełnie.

- Tyle, że ze szkła. Widzę, lecz nie robi to wielkiej różnicy. Ale ładnie świeci.

- To nie jest szkło, dotknij go.

Malwina wyciągnęła rękę; jej również zniknęła do połowy w dziwnym tworzywie.

- A niech mnie! – powiedziała zabierając dłoń. Przybliżyła twarz. – Tam coś widać.

- Ściana nie ściana – powiedział śpiewnie Michał. – Więc można przejść! Czy tam jest dom? Czy tam są moje róże?

- Myślisz, że możemy przez nią przejść? – zapytała Malwina.

- Chyba tak! Wielkiego wyboru nie mamy.

- A co z tym, co widział Michał?

- Coś czarnego. Mignęło i już! – dodał chłopiec.

- Jeśli – Mateusz wyraźnie podkreślił to słowo – coś, co zobaczył Michał było tu, najprawdopodobniej jest teraz za tą ścianą. To musi być człowiek, ktoś, kto znalazł się tutaj tak samo jak my. Nic innego nie przychodzi mi na myśl. Więc jeśli on tam przeszedł, znaczy, że my też możemy. Pozostaje spróbować. Może to jest wyjście?

- A jeśli nie? Co zrobisz, jeśli to jest jakaś pułapka? Może to wszystko jest jedną wielką śmiertelną pułapką?

- Przejdę pierwszy. W innym wypadku możemy tu stać bez końca.

- Pójdziemy z tobą.

- Nie ma takiej potrzeby. Jeśli tam jest jakieś niebezpieczeństwo, wrócę. Jeśli nie wrócę, po prostu tam nie wchodzić.

- Nie zapominaj o tym, co zobaczył chłopak. Jeśli tam jest jakieś niebezpieczeństwo, nic mu nie stoi na przeszkodzie, aby do nas przyjść.

- Po prostu poczekajcie chwilę, dobrze?

- Chwilę.

- Chwilę – poparł Malwinę Michał.

Mateusz wziął głęboki oddech. Stał twarzą do ściany, zamknął oczy i wykonał mały krok. Spodziewał się jakiegoś dziwnego uczucia, lecz przejście przypominało zanurzenie głowy w wodzie. Materia ciasno objęła jego głowę, nagle przestraszył się, że nie będzie mógł złapać oddechu, lecz nic takiego nie nastąpiło. Otworzył usta i zaczerpnął powietrza. Wystawił głowę, otworzył oczy, popatrzył pod nogi, na czarny,

gładki jak szkło kamień pocięty srebrnymi żyłkami i wyszedł do końca. Podniósł wzrok i zamarł. To, co ukazało się jego oczom zupełnie go zaskoczyło, bardziej niż cokolwiek, co ostatnio doświadczył. Bardziej niż wszystko, co zobaczył w życiu. Stał bez ruchu kilka minut obserwując nieziemski widok. Nagle z tyłu usłyszał ciche mlaśnięcie. Odwrócił głowę. Ze ściany wyszła Malwina trzymając chłopaka za rękę. Michał miał zaciśnięte powieki.

- Już myśleliśmy, że nie wrócisz, ale jestem zbyt niecierp... – zaczęła dziewczyna, lecz nie dokończyła. Otworzyła szeroko usta. – O, żesz ty w mordę!

Przed nimi rozciągał się przeogromny plac otoczony niezliczoną ilością wyrastających z kamienia, zadziwiających, niebotycznych budowli. Znajdowali w centrum jakiegoś miasta. Lecz takiego, żadne z nich nigdy nie widziało.

- Gdzie my jesteśmy? – wyszeptała cicho Malwa.

Przedziwne, monumentalne budynki sięgały, zdawało się, lśniących wysoko w górze gwiazd. Na atramentowym niebie nie było ani jednej chmury, nie wiał wiatr. Panowała wokół ta sama, niezmałona cisza. Miasto wyglądało na bardzo stare i zupełnie wymarłe.

Wszędzie wokół wznosiły się gigantyczne konstrukcje niewiadomego pochodzenia i o nieokreślonym przeznaczeniu. Część z nich przypominała budowle sakralne, strzeliste katedry, większe niż jakakolwiek widziana na Ziemi. We wszystkich znajdowały się niezliczone otwory tuneli prowadzących do wewnątrz owych nieziemskich gmachów. Ponad zwieńczeniami wielkich kaplic górowały ostre kły wież wbijających się w powietrze. Jeszcze wyżej, na różnych wysokościach unosiły się ogromne kamienne platformy o nieregularnych

kształtach. Wisiały w powietrzu bez żadnego podparcia niczym czarne, marmurowe chmury dryfujące w kierunku odległego horyzontu.

Czas wyraźnie odcisnął na mieście swe piętno; wiele zabudowań pokrywała sieć pęknięć, inne pochylały się na boki, w pewnych miejscach widać było odkruszone fragmenty kamienia. Kilka ścian zupełnie runęło. Resztę pokrywał zielonkawy nalot.

Pośród głównych zabudowań wily się elementy obcych konstrukcji, przypominających monstrualne rusztowania; lśniąco, stalowe ramiona obejmowały potężne, omszałe cielska z kamienia. Powykręcane, jakby zatrzymane w biegu lub zamrożone w czasie spadania szkielety czuwały na opuszczonym miastem. Nieziemskie, półorganiczne formy, rozchodziły się we wszystkich kierunkach, aż po kres pola widzenia, przypominając krwioobieg i kościec tego dziwnego miasta.

- Jakże to wszystko dziwne! – Mateusz nie wierzył własnym oczom.
– To najniezwyklejsza rzecz, jaką widziałem w życiu.

- Miejscami to jest... obrzydliwe. Jakby skamieniałe części ciała.
To zabrzmiało głupio, ale... nie wydaje mi się, abyśmy wciąż byli na Ziemi.

- A gdzie?

- Bardzo chciałabym się tego dowiedzieć.

- I co teraz zrobimy?

- Nie mam pojęcia. To jest jakieś popieprzone! Jakiś głupi, złośliwy żart. Mam dość! Mam nadzieję, że nie jesteśmy tu sami. I jest tu ktoś, kto wie, jak się stąd wydostać.

- Ani żywego ducha, miasto wygląda na opuszczone. Jakby od setek lat nikogo tu nie było. Nie widać też osoby, którą widział Michał.

- Nie? Spójrz tam – odparła nagle z zaskoczeniem Malwina wskazując ręką w lewo. – Halo! Tutaj! – krzyknęła.

Mateusz spojrział w tym kierunku. I rzeczywiście, w oddali zamajaczyła niewyraźna sylwetka zbliżająca się wolnym krokiem.

- To chyba jakiś mężczyzna – stwierdziła Malwina.

- Michał rzeczywiście coś widział.

Dotychczas rozglądający się w milczeniu chłopak przytaknął:

- Widziałem. Coś ciemnego. – I schował się za Malwiną. – Boję się.

- Ten ktoś nie wygląda na zdziwionego naszą obecnością. Raczej mu nie spieszno – powiedział Mateusz nieco zdziwiony.

- Może jednak nie jesteśmy tu jedyni i w naszej obecności nie ma niczego nadzwyczajnego?

Mężczyzna zbliżał się coraz bardziej. Gdy znalazł się dostatecznie blisko, aby mogli ocenić, kim jest, Malwina zawołała:

- Dzień dobry!

- Witam! – odkrzyknął nieznajomy i zamachał do nich uśmiechając się szeroko.

- Nie wygląda na zmartwionego swoją sytuacją – szepnął Mateusz.

Obcy znalazł się zupełnie blisko, był niewysokim, starszym mężczyzną o wątej budowie. Nosił stary, wymięty garnitur z szarego materiału raczej kiepskiej jakości. Miał ciemne przerzedzone włosy poprzetykane gdzieniegdzie pasemkami siwizny. Chociaż był przygarbiony i sprawiał wrażenie zmęczonego życiem, jego duże, roześmiane oczy mówiły, że jest człowiekiem jowialnym i wciąż pełnym sił. Uśmiech na pociętej zmarszczkami twarzy wzbudzał zaufanie. Podeszedł do Malwiny.

- Pozwoli pani, że się przedstawię – powiedział ujmując jej rękę. – Antoine Malice. – Pocałował Malwinę w dłoń.

- Malwina – odpowiedziała odwzajemniając uśmiech.

Mężczyzna podszedł do Mateusza i wyciągnął rękę.

- Mateusz – rzekł z rezerwą ściskając dłoń nieznanego. Obcy miał mocny, zdecydowany uścisk.

Następnie zwrócił się do Michała, lecz ten jeszcze bardziej schował się za Malwiną.

- To Michał – powiedziała dziewczyna. – Jest nieco przestraszony.

- Witam młodzieńcze – rzekł mężczyzna nachylając się do kaleki.

Michał odwrócił głowę.

- Ho, ho! Przestraszyć się to nic strasznego. Każdemu się zdarza – powiedział w kierunku chłopca zupełnie niespieszony. - Musicie być dosyć zdezorientowani tym, co was spotkało, mam rację?

- To mało powiedziane – odparł Mateusz. – Czy pan również znalazł się tu przypadkiem?

- Jak powiedziałem, mam na imię Antoine, przejdźmy na „ty”, jeśli nie stanowi to dla was obrazy. Będzie nam łatwiej rozmawiać. – Cmoknął i zatarł dłonie. - Co do mojej obecności tutaj, to tak, można powiedzieć, że znalazłem się tu przypadkiem?

- Długo pan... już tu przebywasz?

- Dłużej niż moglibyście to sobie wyobrazić – westchnął.

- Czy jest nas tu więcej?

- Obecnie nie, ale nie jesteście jedynymi, którzy tu trafili.

- Co z pozostałymi? – zapytał podniecony Mateusz.

- Wrócili do domu? – dodała Malwina.

- Tak.

- Więc to jest możliwe?!

- Jak najbardziej. Czemuż miałoby to stanowić problem?

- A, co to za miejsce?

Antoine zamyślony podrapał się po głowie.

- Prędzej czy później, moi drodzy przyjaciele, bez zbędnego gadania z mojej strony wszystko się wyjaśni. Cierpliwości.

- Ale gdzie to jest? W jakim mieście jesteście? Jak się tu znaleźliśmy? – Malwina nie dawała za wygraną.

- Spokojnie, kochani. Pójdźcie za mną. Opowiem wam, co wiem po drodze.

Antoine prowadził ich przez miasto. Mijali przytłaczające konstrukcje. Dzieło nieznanych budowniczych było olśniewające. Różnorodność form i kształtów imponowała: łuki wielkości drapaczy chmur, ostre krawędzie dachów przywodzące na myśl górskie szczyty oraz zaśnieżone kopuły przypominające te zwieńczające meczety. Wszystko wyglądało na nieskończony kompleks budowli świątynnych ku czci nieznanego Boga.

- Ach! Czy miasto nie jest cudowne? – zaczął po pewnym czasie Antoine.

- Co to jest?

- Jakkolwiek dziwnie to zabrzmiało, znaleźliście się, najdrożsi ... jakby to ująć, poza rzeczywistością.

- To jakaś bzdura... Z całym szacunkiem panie Antoine. – Mateuszowi ostatnio nie było do śmiechu, jednak ta odpowiedź rozbawiła go. – A Tak poważnie?

- Ba! – Mężczyzna rozłożył ręce. - Trudno w moje słowa uwierzyć, nie przeczę, ale nie macie wyboru, że się tak wyrażę. Cóż, świat nie jest idealnym miejscem. Czasami z niewiadomego powodu można trafić nie tam, gdzie się zdążyło. Zamiast spodziewanej kawiarenki za rogiem lub chociażby kuchni napotyka taki człowiek szczelinę, rozdarcie czasu i przestrzeni, a za nim...wszystko inne, nieznanne, same dziwy. Nigdy nie wiadomo, dlaczego tak się dzieje. Musieliście napotkać taką właśnie

dziurę. I znaleźliście się tu. Na własny użytek nazywam to miejsce węzłem rzeczywistości. Tu właśnie zbiegają się wszystkie drogi. Jesteście w sercu istnienia.

Miasto to ma dziesiątki tysięcy lat, najprawdopodobniej zostało zbudowane przez nieznaną, przedwieczną rasę architektów światów, lecz od wieków nikogo tu nie ma. Czy opuścili nasz świat, czy wymarli, tego nie wiem. Natomiast...

- Ale gdzie dokładnie się znaleźliśmy?

- Doprawdy wszędzie i nigdzie. Można stąd dojść do każdego miejsca na ziemi, właśnie takimi korytarzami jak ten, którym tu przyszliście. I odwrotnie, stąd można powędrować gdziekolwiek. Nie istnieje tu pojęcie czasu, przestrzeń jest skrajnie względna. Tego miejsca nie ma i jest wszystkim zarazem. Czysta potencjalność. Możliwości są wręcz nie-o-gra-ni-czo-ne!

- Powiedziałeś, że można stąd wrócić w każde miejsce. Jak?

- Rozejrzyjcie się wokół, kochani, wszędzie wokół was znajdują się miliony korytarzy, miliony dróg... – Mówiąc to, zatoczył ręką wielkie koło.

- Lecz wybrać tę odpowiednią jest niemożliwością. Człowiek pozostawiony tu sam sobie nigdy nie trafiłby w miejsce, z którego przyszedł.

- Czyli to koniec... Nigdy nie wrócimy do domu?

- Ha! Nie tak szybko, nie tak dramatycznie, miła pani. Pozwólcie, że coś wam opowiem. Znalazłem się w tym niezwykłym mieście bardzo dawno temu. Możecie wyobrazić sobie moje zagubienie. Błądziłem po tunelach o wiele dłużej od was. Niekończące się dni, setki korytarzy, dziesiątki kilometrów. W końcu znalazłem pośród opuszczonych budowli kogoś, istotę. Ostatniego z architektów. Nie widziałem go, lecz czułem czyjaś obecność. Owa istota umierała. Przemówiła gasnącym głosem.

Jej słowa nie wyjaśniły wiele, nie było na to czasu. Nie powiedziała, czy reszta rasy wciąż istnieje czy to koniec linii budowniczych. Wyjaśniła, że zostałem tu sprowadzony z konkretnego powodu. Miałem stać się przewodnikiem. Nie wiem, dlaczego akurat ja i powiem wam, że wielokroć ich przeklinałem, bo nikt nie dał mi wyboru, nikt nie zapytał. Skazali mnie na wieczną niewolę w tym miejscu.

Zanim odszedł ofiarował mi dar. Dar poznania. Od tego momentu nie wiem jak, ale znam drogę powrotną każdego, kto się tu znajdzie.

Jestem tu po to, aby pomóc ludziom uciec z tego miejsca. Chociaż sam nie mogę i nie potrafię

Znam również wasze drogi.

- Poprowadzisz nas? – W głosie Malwiny zabrzmiała nadzieja.

- Oczywiście, taka moja rola. – Uśmiechnął się smutno.

- A ty? Nie próbowałaś nigdy uciec? – Zapytał Mateusz przyglądając się uważnie reakcji mężczyzny.

- Ależ owszem! Setki razy. Problem w tym, że nie wiem jak. Gdy myślę o swojej drodze nie widzę nic. Zupełna pustka. W końcu pomyślałem jednak, że lepsze jakiegokolwiek miejsce niż to więzienie bez granic. Lecz okazało się, że te miliony tuneli mnie nie prowadzą do nikąd.

- Zawsze wracałeś tu?

- Zawsze. – Antoine opuścił głowę i zamilkł. Szedł dalej patrząc pod nogi.

Nagle na końcu jednej z bocznych uliczek Mateusz dostrzegł szybko przemykający ciemny kształt. Michał też to zobaczył; kurczowo złapał Malwinę za rękę.

- Chyba jednak nie jesteśmy sami. – Mateusz spojrzał na Antoine'a.

- Co zobaczyłeś, przyjacielu? – mężczyzna był równie zaskoczony. Cofnął się i podszedł do Mateusza.

- Tam – wskazał ulicę – jakaś ciemna postać. I wydaje mi się, że już raz się na nią natknęliśmy.

- Miałem nadzieję, że uda nam się przejść nie zwracając jego uwagi – odparł Antoine rozglądając się niepewnie wokół.

- To człowiek?

- Nie, i uwierzcie mi, unikajcie tej istoty za wszelką cenę. To nie jest bezpieczne.

- Kim ona jest?

- Nie jestem pewien. Gdy tu przybyłem, ona już zamieszkiwała miasto. Może jest kimś z rasy budowniczych? Wiem tylko, że posiada ogromną moc, lecz z jakiegoś powodu się mnie obawia. Nie stanowi dla mnie zagrożenia, dla was niestety tak.

- Co masz na myśli?

- Możecie już nigdy się stąd nie wydostać. Ona w jakiś sposób manipuluje tym światem, tunelami, budowlami. Możecie na wieki zostać uwięzieni w znajdujących się tu labiryntach. A pamiętajcie, że czas tu nie ma znaczenia, co więcej, to miasto nie ma granic.

- Wielu zostało uwięzionych?

- Z pewnością. Nie mam pojęcia, do ilu nie zdążyłem dotrzeć. Nigdy jednak nikogo z nich nie spotkałem w korytarzach. Mogą minąć setki lat zanim natkniesz się na kogoś w tak przeogromnej płataninie dróg. A i to będzie niewątpliwe szczęście. Chodźmy, już tu za rogiem jest wyjście dla pierwszego z was.

Ruszyli szybkim krokiem. Za kolejnym budynkiem rzeczywiście znajdował się długi tunel, inny jednak od tego, którym przyszli. Ściany pokrywały dziwne rzeźby.

- Czyja to droga? – zapytał Mateusz.

- Szczęśliwcem jest Michał. Was będę musiał na chwilę zostawić. Gdybyście poszli z chłopakiem, zgubilibyście się. Już nigdy nie znaleźlibyście drogi powrotnej.

Chłopak silniej złapał Malwinę za rękę. Dziewczyna przykucnęła.

- Posłuchaj Michaś. Antoine zaprowadzi cię do domu. Idź z nim, wszystko będzie dobrze. – Pogłaskała go po policzku.

- Ale, ale... ja chcę z tobą. Czemu nie możesz iść z nami?

- Widzisz, ja tędy nie wrócę do swojego domu. Ale nie martw się, niedługo się zobaczymy. Jak tylko będę mogła, przyjdę do ciebie, zgoda?

- Obiecujesz?

- Obiecuję.

- Nooo... dobra – odparł chłopak z ociąganiem.

Malwina cmoknęła go w nos.

- Idź z nim i niczego się nie bój.

Michał podszedł do mężczyzny. Ten chciał go chwycić za rękę, lecz chłopak cofnął się. Antoine wzruszył ramionami.

- Uważajcie na siebie. I nie dajcie się zwieść. Niedługo będę z powrotem. Chodźmy już, chłopcze – powiedział i ruszył wгłęb tunelu.

Michał wolno powędrował za nim. Nagle zatrzymał się i odwrócił. –

Twoje buty, Mateusz! Ja już ich nie potrzebuję. Idę do domu! – zawołał i podbiegł do Mateusza.

- Zostaw, jak odwiedzę cię, odbiorę.

- Odwiedzisz mnie? – oblicze Michała pojaśniało.

- Tak, w końcu będziesz miał moje buty – uśmiechnął się i potargał Michała po czuprynie.

- Chodźmy już – z korytarza dobiegł zniecierpliwiony głos Antoine’a. – Nie mamy zbyt wiele czasu.

- To dobre miejsce, tylko kwiatów nie ma. Wracam do moich róż – powiedział chłopiec i pobiegł za mężczyzną. Po chwili obydwaj zniknęli w mroku.

- Wygląda na to, że wszystko dobrze się skończy – stwierdziła Malwina.

- Tak. Na to wygląda. – Mateusz zamyślony patrzył na odległe wieże.

Nie odzywali się do siebie. Mężczyzna szedł przodem, Michał kuśtykał nieco z tyłu. W końcu stanęli przed drewnianymi drzwiami.

- To tu, przyjacielu – rzekł Antoine odwróciwszy się do Michała. – Jesteś już prawie w domu.

- Dom! Dom! W końcu!

- Coś więcej – powiedział Antoine cicho, lecz chłopak tego nie usłyszał.

Mężczyzna otworzył drzwi i puścił Michała przodem. Weszli do długiego pomieszczenia przypominającego klatkę schodową. Nagle Michał poczuł zawroty głowy, oparł o ścianę. Całe ciało zaczęło mrowić.

- Źle się czuję – powiedział łamliwym głosem. Ręce zaczęły drżeć, poczuł jak nogi miękną niczym wata. Serce waliło młotem. Żołądek skurczył się do rozmiarów piłki tenisowej.

Antoine stał z boku i przyglądał się zajściu z niezwykłym spokojem. Tymczasem chłopak zachwiał się i runął na ziemię, jego ciałem zaczęły wstrząsać konwulsje. Z ust pociekła strużka śliny, potem na wargach pojawiła się piana. W końcu Michał zgął się w pół i zwrócił.

Nagle z zaskoczeniem zdał sobie sprawę, że jego myśli stały się czyste i klarowne. Takie inne... zupełnie nie podobne do ociężałych wytworów umysłu, do których był przyzwyczajony.. Opanowała go przedziwna jasność.

Podniósł się ciężko. Z obrzydzeniem otarł usta.

- Co się stało? – wyszeptał zbielełymi wargami.

- To miejsce daje ci więcej niż tylko powrót do domu. Więcej niż mógłbyś pragnąć – odparł Antoine triumfalnie.

- Co się ze mną stało? – zapytał ponownie chłopak. Jego głos był pewny i zdecydowany. Zupełnie nie przypominał bełkotliwej mowy kaleki.

- Popatrz! - Antoine pokazał na ścianę, która nagle okazała się lustrem. – Przyjrzyj się sobie, Michał.

Chłopak podszedł do lustra i spojrzał. Po drugiej stronie stał młodzieniec. Nie miał zniekształconej twarzy, nie garbił się. Miał pewne, inteligentne spojrzenie.

- Kto to? - Cudowna prawda powoli dochodziła do chłopaka.

- To ty, przyjacielu. Taki, jakim mógłbyś się stać, gdyby nie ludzkie okrucieństwo.

- Jak to? Jak to możliwe? – Michał z niedowierzaniem dotykał swoich nóg, twarzy. Wszystko było takie nierealne.

- To miejsce jest tajemnicą i cudem. Jest niepojętym darem od przedwiecznych. Nie znalazłeś się tu bez powodu, chłopcze. Otrzymałeś nowe życie! To, o czym nawet nie marzyłeś, to, co dawno zostało zaprzepaszczone, zniszczone. To miejsce uzdrowia. Zasługujesz na to.

- Niewiarygodne! – Michał nie posiadał się z radości. Zaczął podskakiwać, wciąż spoglądając w lustro. Był normalnym osiemnastolatkiem, odzyskał siebie. Dostał nową przyszłość. Wszystko można było zacząć od nowa.

- Masz całe życie, aby o tym rozmyślać i cieszyć się darem.

Tymczasem jednak musimy iść. Wracasz do domu. A są jeszcze inni.

- Możemy do nich na chwilę wrócić?
- Niestety – Antoine pokręcił głową – nie mogą o tym wiedzieć.
- Chodźmy więc – westchnął. - Zobaczą mnie później, ale będzie zaskoczenie! - Chłopak zaśmiał się.
- Właśnie, chodźmy. – Mężczyzna klepnął Michała w plecy i ruszyli.

Zdążyli przejść kilka kroków. Wtem Michał dostrzegł grupkę stojących nieopodal chłopaków. Strasznie przeklinali poszturchując przy tym jakąś osobę.

Drzwi w umyśle chłopaka otworzyły się.

- Ale... - Uśmiech znikł z jego twarzy.

- Tak, Michał. Masz jeszcze tylko jeden dług do spłacenia – rzekł Antoine i uśmiechnął się lekko pod nosem.

33333

Siedzieli koło siebie na zimnym kamieniu. Spoglądali wokół z zadziwieniem, odnajdując coraz to nowe olśniewające szczegóły otaczającego miasta.

- To dziwne – stwierdził nagle Mateusz spoglądając przed siebie.

- Co?

- Widzisz tamtą wieżę – wskazał ręką wysoką iglicę w oddali.

- Tak. Cóż w niej dziwnego, poza faktem, że wszystko tu jest dziwne?

- Otóż widzę ją. Nie zwróciłem wcześniej na to uwagi. Jestem w stanie ją zobaczyć.

- I? Wciąż nie rozumiem.

- Jestem krótkowidzem. Nie potrafię poznać osoby idącej naprzeciw mnie w odległości dziesięciu metrów. Jak więc to możliwe, że wyraźnie widzę tą wieżę, hę?

- To dziwne miejsce kryje w sobie wiele tajemnic.

- Może ma właściwości lecznicze? – Mateusz uśmiechnął się pod nosem. - Stajemy się tu lepsi.

- Bo ja wiem? W takim razie, dlaczego, do licha, nie uleczyło Michała, co?

- Nie mam pojęcia. – Wzruszył ramionami. - A ty, nie czujesz się lepiej?

- Nic mi nie dolega. W tej kwestii niestety nie może być lepiej.

- Czemu „niestety”? Tak bardzo masz dość życia? – Spojrzał na Malwinę.

- Czemu „tak bardzo”? Masz jakiś patent na ocenę tego, kiedy można mieć bardzo dość, a kiedy jest fajnie na tyle, że chce się żyć? – odburknęła.

- Nie to miałem na myśli. Bardzo mało się uśmiechasz. Wydajesz się po prostu mieć więcej niechęci do życia...

- Niż na to wyglądam, tak? Złociutki, otóż pozory mylą. To żadna nowina. A budzić się można chcieć, albo nie. Należę do tych, którym niespecjalnie się chce. W sumie nie wiem, czemu mimo wszystko to robię.

- Może oczekujesz jeszcze czegoś od życia? Nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

- Psychoanalizę zachowaj na inne okazje, panie mądralo. Od życia dostałam już tyle, że wystarczy mi na kilka następnych stuleci. Niczego od życia nie chcę.

Mateusz zadumał się.

- Mogę zadać ci osobiste pytanie? – zaczął niepewnie.

- Jak musisz – odparła Malwina skubiąc krawędź spódniczki.

- Czym się zajmujesz, tam, w domu?

- Nie domyśliłeś się jeszcze? – Spojrzała na chłopaka.

- Tak – wypalił - Yyyy... nie chciałem... to znaczy, te pozory... Nie, że wyglądasz na taką, co... ale... ja... - Spuścił wzrok. - Wybacz.

- To przecież nie twoja wina – odparła cicho. - Pozory! Akurat w tym wypadku robię to, na co wyglądam. Tak już w tym zawodzie być musi. O wstydzie jednak już dawno zapomniałam, więc daruj sobie przeprosiny i nie bądź taki skrępowany. To wszystko jest przecież takie banalne. – Zamyśliła się - Wcześniej wspomniałeś o uśmiechu. Wiesz, spotykam się z ojcami rodzin, mężami zdradzającymi żony, czasami opowiadają mi o nich i wiesz... oni też się uśmiechają. Uśmiech to nie zawsze jest dobra rzecz. Czasami nie mogę go znieść. Uśmiech bywa zły. – Podniosła dłoń do ust i zaczęła obgryzać paznokcie. - Powiedz lepiej, czym ty się zajmujesz. Dam głowę, że to o niebo ciekawsze.

- Wątpię. Kończę studia. Poza tym większość czasu spędzam na kartką papieru. Piszę.

- Wiersze?

- Yhm. Ale nikt ich nie czyta. – Mateusz uśmiechnął się blado.

- Kiedyś lubiłam wiersze. Za czasów, gdy miałam w sobie odrobinę wrażliwości. Powiesz mi kiedyś jakiś wiersz? Swój.

- Może kiedyś...

Zamyśliła się.

– Za czym tęsknisz, Mateusz? Bo przecież poezja to tęsknota.

- Dawno już nie wierzę w to, za czym tęsknię. Tego tam nie ma. Teraz poezja to ucieczka.

- Może tego czegoś nigdy nie było?

Nie odpowiedział. Patrzył w dal. Jego utwory podobnie, sięgały obszarów odległych, wyrażały zwykłe pragnienia, czasem mówiły o malutkich, prostych rzeczach dających radość, których nikt już nie uznawał za istotne. Lecz czy fakt, że coś jest bardzo dalekie lub nawet nie widoczne, znaczy, że tego nie ma? Tam właśnie próbował uciec.

- A ty? Co dla ciebie stanowi wartość? O czym marzysz?

- To głupie. Ale powiem ci, bo wiem, że mnie nie wyśmiesz.

- Z obawy przed drwiną przemilczamy rzeczy najważniejsze. To jest właśnie głupie.

- Z dzieciństwa zapadła mi tylko jedna rzecz warta zapamiętania, reszta to bolesne wspomnienia. Jakoś tak jednak jest, że nie potrafię już zapomnieć niczego; ani tych złych wspomnień ani tego dobrego. To jedno jaśniejsze wspomnienie wiele razy nie pozwalało mi zwariować.

Był gorący wiosenny dzień, miałam wtedy może sześć lat. Właśnie założyłam nową sukienkę. Szłyśmy z mamą spacerem na rynek. Stał tam taki stary kościół. Z jego ścian odpadał tynk, część witraży była potłuczona. Miał takie wielkie drewniane drzwi, strasznie podobały mi się wyrzeźbione w nich scenki, chociaż nie rozumiałam z nich nic. Właśnie ta tajemniczość była cudowna. Pamiętam, że jadłam jagodowego loda. Tego dnia w kościele odbywał się ślub. Stałyśmy z mamą nieopodal, przyglądając się gościom czekającym na zewnątrz aż wyjdą nowożeńcy. Gdy pojawili się w drzwiach i panna młoda rzuciła wieniec, jakoś tak głupio chciałam wyciągnąć po niego ręce, z dłoni wyleciał mi lód i okropnie poplamiał sukienkę.

Mama była wściekła. Tata też. Na tyle, że wieczorem trafiłam na pogotowie z dwoma złamanymi żebrami, wybitym stawem barkowym i lekkim wstrząsem mózgu. Nie widziałam, gdzie poleciały kwiaty; nie wiem, jakie to były kwiaty, ale do dziś pamiętam suknię panny młodej. Co dzień widzę tamtą biel, w myślach dotykam delikatnych falban; po kryjomu, co wieczór zakładam ją na siebie. Zawsze marzyłam o takiej sukni.

Czasem siadam wieczorami pod zrujnowanym kościołem, lecz nikt już nie bierze ślubów.

- I nikt nie sprzedaje jagodowych lodów.

Zrozumienie nadchodziło powoli. Podpełzało jak żmija zbliżająca się do ofiary. Odbierając szanse na ucieczkę. Przybliżając śmierć.

- To oni. Ci sami. Wiesz, co musisz zrobić – powiedział Antoine z troską w głosie. – To twoja droga do domu. Otrzymujesz od tego miejsca szansę na szczęście. Nie ma innego wyjścia.

- Ale dlaczego? Czemu akurat w taki sposób? – Myśli zaciskały się na szyi, odbierając płucom oddech. Tumaniając umysł.

- Możesz zmienić przeszłość! Masz możliwość naprawienia jej.

Dlaczego nie? Czuł w sobie moc do podjęcia wyzwania. Był świadom siły, którą posiadał. A wszystko, co należało zrobić to podejść tam i zapobiec okrucieństwu. Zatrzymać zło. Nie mógł przecież pozwolić, aby to wydarzyło się po raz drugi.

Wola walki rosła.

- Uratuj życie temu chłopcu. Spraw, żeby mógł się śmiać. On nie jest niczemu winien. Ani on, ani jego matka. Czy nie widzisz tego?

Mama! To wszystko nie zniszczyłoby jej, mogliby wciąż być razem. Czy o ich szczęście tu chodziło? Czy w tym celu się tu znalazł? Świat nie bywa aż tak łaskawy, aby zaspokajać pragnienia dwóch osób. Ale przecież egoizm w pragnieniu uczynienia dobra nie będzie złem. Myśl! Po co tu przyszedłem?! Wyciągnąć rękę po to, co ofiarowuje mi... kto? Zaraz! Kto mi to wszystko ofiarowuje? Wyciągnąć rękę, zwinąć ją w pięść. Tylko tyle! Mama, on... pokusa. Nigdy więcej bólu.

Czyja śmierć jest tu kluczem? Czyje życie jest ważne? Ból innych to nie mój ból. Lecz czy mam prawo decydować o cierpieniu innych?

Jaki jestem? Kim jestem? Przecież pogodziłem się ze wszystkim, co mnie spotkało tamtego dnia. Na swój sposób. Z kim jednak będę musiał się pogodzić teraz, gdy to zrobię? Całe zło czające się dotąd na zewnątrz zamieszka we mnie. Czy poradzę sobie z tym? A czy poradzę się z powtórным przyjęciem kalectwa?

Kto mnie tu sprowadził i po co?! Kim jest Antoine i dlaczego tak mu zależy, abym to zrobił? Abym... ich zabił. Abym nienawidził.

Nie. To nie dzięki niemu tu jestem.

Czy tego samego chce ten, dzięki któremu otrzymał wybór?

Myśli zaczęły nabierać jasności.

- Jeśli to zrobię, wszystko po tej tragedii zniknie. Tego, co przeżyłem nie będzie. Moje życie ułoży się inaczej.

- Lepiej!

- Nie będę pamiętał nic.

- A co tu pamiętać? Łańcuch upokorzeń i cierpienia?!

- I tak naprawdę, nigdy tu nie trafię...

Antoine milczał. Wpatrywał się nieufnie w Michała.

- Czy o to ci chodzi? – ciągnął chłopak. - Bo nie dbasz przecież o mnie, tu nie jest ważne moje cierpienie, moje życie, życie innych. Tych,

którzy mnie skrzywdzili, czyż nie? Mogę mieć do nich żal, ale to nie daje mi jeszcze prawa do nienawiści oraz zemsty. To nie leży w mojej mocy. Ani twojej, Antoine.

- Daję ci wolność, przyjacielu. Daję nowe życie. Szansę na spłatę długów. Czego chcesz więcej?!

- Nie u nich mam dług. Ktoś inny ofiarował mi wszystko, co mam.

- Tak? A cóż takiego masz, za mógłbyś dziękować?! Cóż on takiego zrobił. Ty możesz teraz to zrobić lepiej. Napraw jego błędy, człowieku, nie wahaj się! Poczuj to w sobie. Przyznaj się do uczucia, które w sobie dusisz. Wiem, że ono tam jest. Pozwól mu się poprowadzić. Nie zaprzeczaj swemu sercu. Nie odmawiaj sobie prawa do zemsty, nie odbieraj sobie życia!

- Nie.

- Jesteś głupcem. Biednym, naiwnym głupcem.

- Ale jestem nim TUTAJ. Ktoś mnie tu sprowadził i nie pozbędziesz się mnie. Nie w taki sposób. Nie takim kosztem.

- Majaczysz. Nie jesteś mi do niczego potrzebny.

- Wiem, że ci ludzie tam są twoją iluzją, przez którą chcesz we mnie wyzwolić nienawiść, żal i pychę. Dajesz śmierć, nie życie. – Spojrzał w lustro. – Moja twarz jest również złudzeniem. – Podeszedł szybko do tafli szkła i gwałtownym ruchem ręki rozbił ją. Dziesiątki fragmentów rozdzwoniło się spadając na ziemię. Syknął z bólu. Z rozciętej ręki poleciała krew. – Nie dałeś mi nic. To tylko pozory. Nic nie warta maska. – Schylił się, chwycił kawałek rozbitego lustra i popatrzył w niego przez chwilę. – Nie chcę tego, rozumiesz?! – Krzyknął do Antoine'a i przejechał szkłem po swej twarzy.

- Idioto! Nie!!! – zawył Antoine. – Nie rób tego!

Chłopak zwał się z krzykiem na ziemię. Krew obficie spływała po pokiereszowanej twarzy. Lewa powieka drgała w szaleńczym tempie, to oko stracił, drugie zwróciło się w kierunku nachylającego się mężczyzny.

- Nie chcę od ciebie nic. – Mówienie było katorgą, rozcięte wargi paliły. Ciałem szarpały konwulsje.

- Nawet nie zdajesz sobie sprawy, co odrzucasz, człowieku – syknął Antoine. – Chciałem ci tyle dać, lecz odmówiłeś. Ale i tak na jedno wychodzi, głupcze. Świat może i jest snem. Ale nadzwyczaj realistycznym. – Zaśmiał się donośnie.

Obraz zaczął wirować, myśli zakryły się mgłą. Wszechobecny ból napływający coraz silniejszymi falami. Kłujące skurcze w mięśniach, ciało zapadające się w sobie, szybko postępująca deformacja, puchnące stawy. Ból wykrzywiających się kończyn. Odradzająca się w płomieniach choroba, zanikająca świadomość ubywająca wraz z krwią. Odległe głosy, tupot stóp nadbiegających osób. Ciekawe spojrzenia, twarze nachylające się z okrutnym wyrazem.

- Nie... zostawcie... proszę... - wycharczał, krzywiąc się z bólu.

Antoine zniknął niepostrzeżenie za drzwiami.

- Patrzcie! Przecież to pawian!

Ściany pobliskich budowli zadrżały. Malwa spojrzała na Mateusza.

- Co to?

Nagle ściana budowli znajdującej się za nimi runęła z potwornym hukiem syjąc wokół kawałkami kamieni.

- Uciekajmy! – krzyknął Mateusz. Chwycił dziewczynę za rękę i pociągnął za sobą.

Wtem po bokach wyrosły ogromne ściany odcinające ich od ulic. Zatrzymali się.

- Przed nami! – powiedział zdyszany Mateusz.

- O, cholera!

W odległości kilku metrów stała postać. Ogromna, nieruchoma sylwetka skryta pod czarnym płaszczem, twarz schowana pod kapturem.

- To on! – wyszeptała Malwina ściskając dłoń Mateusza.

- Nie obawiajcie się. – Głos był niski i spokojny. – Nie zamierzam was skrzywdzić.

- Boże, to koniec! A było tak blisko – powiedziała dziewczyna łamiącym się głosem.

- Nic wam się nie stanie, jestem tu po to, aby pomóc.

- Wiemy, kim jesteś – odparł Mateusz – nie oszukasz nas!

- Już zostaliście oszukani. On nie powiedział wam prawdy.

- Łżesz, chcesz nas tu uwięzić.

- Jeśli nie wysłuchacie tego, co mam do powiedzenia, nie będę mógł wam pomóc.

- Dlaczego mielibyśmy ci uwierzyć?

- A jaki był powód, dla którego uwierzyliście jemu?

- Chciał nas zabrać do domu.

- Nie, on był po prostu pierwszy. Mógł wam powiedzieć cokolwiek i tak byście przyjęli jego słowa.

- Więc powiedz coś, co sprawi, że będziemy mogli przyjąć twoje.

- Stąd nie można wrócić. Nie do miejsca, z którego przybyliście. Jedynie w dalekie, złe odbicie. I właśnie to chce zrobić on, pozbyć się was.

- A inni? Im przecież pomógł.

- Jacy inni! Nigdy nikogo przed wami tu nie było. Ludzie znają to miejsce, prawda. I różne drogi tu prowadzą, ale wy jesteście pierwszymi,

którzy tu się znaleźli. To ja was sprowadziłem dzięki temu, że mogę zmieniać korytarze.

- Wielkie dzięki!

- Musiałem to zrobić. Wierzcie mi, nie miałem wyboru.

- Co w takim razie stało się z Michałem?

- Nie wiem. Może jest już za późno... Mam nadzieję, że chłopiec nie przyjął oferty Antoine'a. Musimy się spieszyć. On niedługo tu przyjdzie. Chłopaka poszukacie później.

- Dajesz nam wybór?

- Oczywiście, nie mogę was do niczego zmusić.

- Nie pytałeś ściągając nas tutaj, a teraz możemy zostać?

- Tak. – W jego głosie wyczuć można było smutek. – Ale nie będzie już drugiej szansy. – Poruszył się niespokojnie.

- Jeśli nie można stąd uciec, więc co nam z twojej pomocy, do cholery?

- Nie o ucieczkę tutaj chodzi. Jest powód, dla którego tu jesteście. Wszyscy troje. Chodźcie za mną, coś wam pokażę. – Odwrócił się i ruszył. – Możecie mi zaufać. Jeśli jednak pragniecie zostać, zróbcie to. Wciąż macie wolną wolę. Nie dajcie jej sobie odebrać.

- Chodźmy z nim. Nie wiem, dlaczego, ale ufam mu – powiedziała Malwina. – Co jak co, ale wiem, kiedy facet kłamie – odpowiedziała na pytające spojrzenie Mateusza.

- Tak? – bąknął pod nosem Mateusz. – To czemu nie wyczułaś, że Antoine kłamał?

- Był w tym niezły. A do tego sympatyczny.

- A co jeś... - zaczął, lecz dał spokój. Machnął tylko ręką. – Kobiety. Niech to nagła cholera!

Ponownie powędrowali przez miasto. Tym razem w zupełnie innym kierunku. Teraz przerażało ich bardziej niż wtedy, gdy się tu znaleźli. Szli bez słowa rozglądając się niepewnie dookoła. Przeogromne kolumny przytłaczały, faktura ich spękanych ścian przywodziła na myśl mięśnie. Pomiędzy budowlami znajdowały się dziwne, zupełnie niepasujące do reszty konstrukcje. Gdy się uważniej przyjrzeć, te obce elementy miały za zadanie podtrzymywać owe sakralne budynki popadające w ruinę. Niekiedy były to masywne przesła. W innych znów miejscach można było zobaczyć sieci nitkowatych rur, łączące je stawy i gigantyczne żebra oraz budowle, które jednak pomimo tych zabiegów chyliły się ku upadkowi. Przypominało to szkielet zapadający się pod zbyt wielkim ciężarem.

Znaleźliśmy się w trzewiach przedwiecznego organizmu, martwego od stuleci, myślał Mateusz wodząc wokół wzrokiem po wątych arteriach, wpatrując się w lodowate oczodoły tuneli.

W końcu stanęli nieopodal krawędzi. Postrzępiony marmur pękał. Za nim nie było nic.

- Zobaczcie. – Wyciągnął przed siebie rękę, spod długiego rękawa nie wystawała jednak dłoń. – Antoine okłamał was. Wbrew temu, co mówił, miasto nie jest bezkresne. Oto jego koniec. Dosłownie i w przenośni.

- A to skurwiel ponury! – syknęła Malwina. - Co się dzieje?

- Miasto Rozpada się, znika bezpowrotnie. Staje się nicością. Nie mogę wiele poradzić, moje próby okazały się bezskuteczne. Brakuje mi najważniejszego. I nie wiem, co to jest. Nie potrafię tego procesu zatrzymać.

- Ale czym to wszystko jest? Czym jest miasto? Kim jesteś ty? Kim jest Antoine? Dlaczego nas okłamał? O co chodzi?!

- Byłem tu za czasów największego rozkwitu, gdy po ulicach chodzili aniołowie, w katedrach rozbrzmiewał śpiew chórów, miasto żyło, rozrastało się. Ono powstało z wiary w Absolut. Wiara stworzyła je i karmiła przez tysiąclecia. Z czasem było jednak coraz gorzej, przestano budować nowe świątynie, stare, świecące pustkami, zaczęły popadać w ruinę, ciemność pożerała miasto kawałek po kawałku. Umierało tak, jak zanikała wiara. W końcu... - przerwał i spojrzał za siebie w gęsty jak smoła mrok. - Wasz Bóg odszedł. Może uznał, że Jego dzieło odrzuciło swego twórcę. Stworzenie pragnące dalej iść samotnie. Mieli wybór i skorzystali z niego. Widziałem tłumy anielskie, całe mnóstwo chórów znikających za Nim w nicości. Odbierałem ich smutek, rezygnację i bezgraniczne poddanie się woli... człowieka. On musiał czuć to samo. Widocznie nie mógł postąpić inaczej.

Pozostaliście sami. Ale wasz stwórca powołując was do życia zrobił kawał dobrej roboty. Był poetą, jego domeną było Słowo. Napisał was nieskończenie dobrze i warto o was walczyć, chociaż wy wątpicie w jedno i drugie.

Antoine o tym wie. I jest groźniejszy niż możecie sobie wyobrażać. Zło nie jest zależne od wiary, ono istnieje, bo zostało wpisane w wasze istnienie. On je uosabia i tylko czeka aż to miejsce zniknie. Wtedy będzie mógł zstąpić na ziemię i wziąć ją we władanie.

Od początku wiedział, że mu zagrażacie, chciał was omamić i pozbyć się. Dopilnuje abyście nie pokrzyżowali jego planów.

- Kim ty jesteś? Jaka jest twoja rola w tym zamieszaniu?

- Jestem ostatnim pośród niezliczonej rzeszy bogów. Wszyscy inni odeszli. Pozostałem tylko ja – najbardziej ułomny. Nie jestem

wszechmocny ani wszechwiedzący, nie mam nawet imienia. W sumie nie wiem, czemu jestem bogiem, bo poza wiecznością nie mam niemal nic. Tylko zdolność, którą posiadam. Jestem artystą Formy, potrafię rzeźbić w nicości, powoływać do istnienia nowe kształty. Ale w tym nie ma życia, tego nie potrafię stworzyć, nie umiem go utrzymać, dlatego nie jestem w stanie wam pomóc. Jestem rzeźbiarzem, który sam formy nie otrzymał i nie potrafi jej sobie nadać, cóż za bolesny paradoks!

- A nasza rola?

- Zanim odszedł, Bóg naznaczył was w pewien szczególny sposób. Można powiedzieć, że jesteście jego ostatnim listem. Nie miałem pojęcia, w jaki sposób, ale wiedziałem, że jesteście wyjątkowi i to właśnie wy macie moc zatrzymać ów proces. Posiadacie w sobie coś wspólnego, co pozwoli odwrócić rozpad tego świata. Ale to już wy musicie odkryć, co to jest.

- Co mamy zrobić?

- Wasza trójka jest kluczem. Tylko to jest pewne. Musicie odnaleźć brakujący element, który pozwoli mi spróbować ocalić wasz świat. Gdzieś ukryta jest częśćka mogąca zachować wiarę. I wiary w to potrzebujecie także wy. Uwierzcie w najważniejsze.

- Co jest aż tak istotne?

- To, czego tak bardzo obawia się Antoine. Idźcie już. Czas nie stoi w miejscu. Bywa, że jest względny, ale bardzo istotny. Ani wy ani ja nie mamy go wiele. Ja gasnę razem z tym światem.

W korytarzach leży ocalenie.

Kluczyli pomiędzy stopami granitowych olbrzymów. Wysoko w górze, wśród smukłych iglic biegły napowietrzne akwedukty. Miasto

tonęło w żałobnej ciszy. Znaleźli się w wielkim mauzoleum ku czci umarłego Boga. W takiej atmosferze łatwo poddać się zwątpieniu, a stąd tylko krok do rezygnacji. Takie to łatwe, usiąść i oczekiwać końca. Zakończenia są bardzo poetyckie, myślał Mateusz, należał do ludzi paradoksalnie lubujących się w odczuwaniu uduchowionego pesymizmu, z niego najczęściej czerpał natchnienie.

Więc to jednak On za wszystkim stoi, myślał, istota, w którą dawno przestałem już wierzyć. A Nietzsche był prorokiem, zaśmiał się w duchu.

Zanim jednak Mateusz przestał wierzyć, widział Boga, na przekór kulturowym wyobrażeniom, jako kobietę. Nie uznawał tego za bluźnierstwo, zwłaszcza, że obraz Najwyższego był czysto umowny. Charakterystyczny wyłącznie dla społeczeństw patryjarchalnych.

Po raz pierwszy pomyślał o Bogu jako kobiecie jeszcze jako dziecko wychowywane w przyzakonnym sierocińcu. Nie znał matki, ona jego też widziała tylko raz, gdyż zaraz po porodzie położyła Mateusza pod drzwiami kościoła. Nie potrafił pozbyć się tęsknoty za matką i matczyną miłością. Sierociniec ogromnie potęgował samotność i poczucie opuszczenia. Spędzał długie godziny wypatrując przez okno nieznajomej kobiety, do której tak bardzo pragnął się przytulić.

Mówiono im wtedy o Bogu jako dobrotliwym staruszką mieszkającym w niebie, ale Mateusz wymyślił sobie, że Bóg jest kobietą, matką wszystkich porzuconych dzieci. Widział ją na ołtarzu podczas niedzielnych mszy, jak uśmiechając się ciepło wyciąga do całej gromady opuszczonych dłonie. Było mu łatwiej.

Siostry zakonne były zazwyczaj oschłe i zasadnicze. „Sztywne, pierdolone pingwiny”, zwykł mawiać jeden z jego starszych kolegów, a Mateusz nie miał pojęcia, co z ich sytuacją mają wspólnego te przezabawne stworzenia. Pewnego razu zapytał o to siostrę Marion,

jedyną opiekunkę, która charakteryzowała się przyjacielską opiekuńczością. W zasadzie tylko ją darzył sympatią. Ależ ona się śmiała! Mateuszowi wydawało się, że siostra zaraz spadnie z krzesła. Nie rozumiał jej rozbawienia. Odszedł urażony z płaczem przekonany, że śmiała się z niego.

Uśmiech na twarzy Boga nieco przygaśł.

Minęło kilka lat, Mateusz zbliżał się do pełnoletności. Religijną edukację w sierocińcu traktował z dużą rezerwą. Gdy trzeba było udawał gorliwość, lecz głównie puszczał mimo uszu wyjaśnienia „pingwinów”. Kolejny przełom nadszedł pewnej deszczowej niedzieli. Po porannej mszy, gdy wszyscy opuścili kościół, udał się z koleżanką do pomieszczenia na narzędzia znajdującego się obok zakrystii. Kościelnemu wydawało się, że je dobrze zamyka, ale wystarczyło mocniej kopnąć, aby drzwi ustąpiły.

Agata była o rok starszą, pociągającą brunetką o zalotnym uśmiechu. Po zamknięciu drzwi, bez zbędnych słów zdjęła bluzkę i spódniczkę i położyła się na starym stole. Mateusz niezdarnie pozbył się spodni. Wszedł na stół i zestresowany położył się na dziewczynie. Agata sięgnęła między jego uda. Po kilku minutach bezowocnych starań założyła z powrotem ubranie i wyszła bez słowa pozostawiając upokorzonego Mateusza na stole.

Gdy szedł przez kościół spojrzał na ołtarz. Uśmiech Boga był wręcz drwiący.

Skończył osiemnaście lat. Z tej okazji otrzymał od miasta małe mieszkanie w bloku. Lokal był rozsypującą się rudera, lecz Mateusz nie narzekał, w końcu miał własny kąt. Już od kilku lat pisywał wiersze, teraz miał wreszcie okazję, aby czynić to w spokoju. Przez poezję mógł się wyrazić. Wyartykułować myśli, których nie mógł i nie potrafił nikomu

przekazać. Wiersze były dla niego wszystkim. Kończył wtedy czwartą klasę liceum. Był zamkniętym w sobie młodzieńcem, wyobcowanym, niezrozumianym, a przez to niezbyt lubianym. Nie zabiegał zresztą o znajomości. Zaczął się natomiast zastanawiać, czy jego wiersze mają wartość poza osobistą. Dał kilka z nich nauczycielce polskiego. Po paru dniach oddała mu je z pobłażliwym uśmiechem i radą, aby dał sobie spokój. Nie to było jednak najgorsze, nie zamierzał wziąć sobie jej zaleceń do serca. Na następnej przerwie ktoś potrącił Mateusza na korytarzu i z jego torby wysypały się książki oraz zeszyty, między innymi także jego wiersze. Jeden z chłopaków stojących obok podniósł pierwszy, lepszy wiersz i przeczytał na głos. Wszyscy wokół rzęli ze śmiechu. Wytykali Mateusza palcami do samego końca szkoły.

Ten dzień bezpowrotnie starł uśmiech z kobiecej twarzy Boga. Nigdy więcej nie poszedł do kościoła.

- O czym tak rozmyślasz? – przerwała mu Malwina.

- Przypominam sobie powody dla których przestałem wierzyć.

Przecież takie rzeczy nie mogą się dziać za jego przyzwoleniem.

Zastanawiam się czemu...

- Robił to, co robił? Może miał powody.

- Jakże można mieć powody, aby uprzykrzać ludziom życie?

- Mnie nie pytaj. Wydaje mi się, że życie dał ludziom, Bóg, ale przecież nie twierdził, że będzie takie, jak sobie zamarzymy. Wiesz, ktoś mi kiedyś powiedział, że nie sztuka wygrać partię kart po dobrym rozdaniu, ci najlepsi wygrywają ze złymi kartami.

- Powiedzieć bardzo łatwo.

- Fakt, zresztą dla mnie Bóg był pustą figurą... I okrzykiem, jaki słyszałam kilka razy w ciągu nocy. „O, Boże, tak!” – mówiąc to, Malwina wykrzywiła twarz, udając szczytowanie. Mateusz zaśmiał się, a

dziewczyna kontynuowała - Najczęściej z ust księży, względnie byłych księży. Jak dla mnie to martwa wiara, jeżeli nawet jej kapłani nie szanują religijnych nakazów. Oni mnie najsukuteczniej nawrócili. Poprawili to, co moim rodzicom nie do końca się udało. I teraz okazuje się, że muszę zweryfikować swoje poglądy. Chociaż jak się głębiej zastanowić, to ci niewierni wierni i duchowni mieli po części rację. Bóg już odszedł. Pozostawił nas samych sobie.

- Odszedł widząc jak Jego dzieci świadomie odrzucają to, co im dał.

- Wychodzi na jedno, czyż nie?

Doszli do miejsca, gdzie wcześniej spotkali Bezimiennego. Pośród gruzów odnaleźli tunel, w którym zniknął Antoine z Michałem.

Najbardziej oczywistym wyborem było rozpoczęcie poszukiwań chłopaka w tym miejscu. Weszli do zalanego mrokiem tunelu.

- Jeśli nie znajdziemy Michała, co będzie wtedy?

- Będzie po wszystkim. Koniec.

Po kilku minutach stanęli przed drzwiami. Mateusz otworzył je zdecydowanym ruchem. Za nimi znaleźli korytarz ciągnący się w obydwie strony.

- Najlepiej będzie, jeśli się tutaj rozdzielimy – powiedział. – Ja pójdę w prawo, a ty w lewo. Przejdziemy po, powiedzmy dwa tysiące kroków i wrócimy. Spotkamy się w tym miejscu. Może któreś z nas znajdzie coś niezwykłego, wtedy razem pójdziemy w tamtym kierunku.

- Brzmi rozsądnie.

- Tylko nie wchodź w żadne odnogi. Możesz nie odnaleźć już drogi powrotnej, ok.?

- W porządku.

Rozeszli się. Po kilku krokach Malwina obejrzała się i pomachała Mateuszowi.

-Trzymaj się, smutno tu by było bez ciebie! – Zawołała i puściła do niego oko.

- Wzajemnie! – uśmiechnął się.

Po raz pierwszy Malwina poczuła się w tym miejscu opuszczona. To zadziwiające, jak szybko można się przyzwyczaić do obecności drugiego człowieka, zwłaszcza, że wydawało się jej, iż lubi samotność. Pomyślała o sposobie, w jaki patrzył na nią Mateusz, zupełnie inny niż to, do czego przywykła i znalazła w sobie coś, co zgubiła bardzo dawno temu. Otrzepała z pyłu malutki odruch serca. Nie sądziła, że go jeszcze posiada.

Zaczęła liczyć kroki. Po chwili przyspieszyła.

Mateusz zagłębiał się w ciemności, tu światło było o wiele słabsze. Zrobiło się chłodno. Ściany lekko drżały zamazując się w mroku. Nagle zobaczył przed sobą okno. Stare, drewniane okno. Zaskoczony podbiegł do niego. Na zewnątrz panowała noc, szalała zamieć. Tumany śniegu przemykały za szybą. Wzrok z trudnością przenikał biel, lecz Mateuszowi wydawało się, że dostrzega w dole ulicę, po drugiej stronie stał duży budynek. Okno?! Tutaj? W miarę składny i logiczny obraz sytuacji, który ułożył sobie w głowie Mateusz runął, roztrzaskując się z powrotem na dziesiątki nieskładnych i niepasujących do siebie fragmentów.

- Był taki dzień, bardzo brzemienny w skutki, chociaż ty go nie pamiętasz – dobiegł z tyłu spokojny głos.

Mateusz odwrócił się gwałtownie.

- Pytanie brzmi, co teraz ty z nim poczniesz.

- To ty! – syknął Mateusz, widząc Antoine’a opartego o ścianę. –
Co zrobiłeś Michałowi?

- Michał? Jest już od dawna w domu, jak obiecałem. Czyż nie
chciałbyś pójść w jego ślady?

- Wiem, kim jesteś, Antoine. On nam powiedział.

Mężczyzna westchnął kręcąc głową.

- Więc jednak nie posłuchaliście mnie i pozwoliliście się omamić. A
dobrze radziłem. Otóż powiem ci coś – nagle podniósł głos. – On nie
daje wam nic! Czy zapytaliście go, co będzie później? Nic później nie
będzie, wbij to sobie do głowy. A ja dam wam szansę ucieczki stąd.
Spójrz za okno, Mateusz. Oto wyjdzie. On ci tego nie potrafi dać.
Dlaczego? Bo chce was wykorzystać. Jesteście mu potrzebni i nie może
pozwolić, abyście uciekli z jego zmyślnej pułapki. To wszystko jest
zręczną mistyfikacją.

- Cóż takiego nam z jego strony grozi?

- Pragnie się wami bawić. Uwięzić tu i obserwować jak się wijecie
w niemocy. On karmi się cierpieniem i beznadzieją, dlatego nie chce
pozwolić, abym wam pomógł się tego wyzbyc. Podejdźmy do okna. –
Antoine zbliżył się, objął Mateusza ramieniem i pociągnął do szyby. – To
było ładnych parę lat temu. Mroźny, zimowy dzień. Kobieta w szoku
poporodowym, nieświadoma tego, co czyni. Zbyt zawstydzona i
upokorzona, aby potem to naprawić. Patrz!

Spojrzeli w okno.

Na zewnątrz wiatr zelżał odsłaniając ulicę. Mateusz zobaczył
kościół. Ciemna sylwetka wyrastała z morza bieli. Przez ulicę szła
chwiejnym krokiem opatulona płaszczem kobieta, na rękach niosła
tobolek. Zbliżała się do kościelnych drzwi.

- Możesz zejść na dół i spróbować z nią porozmawiać. Ona oczywiście nie będzie wiedziała, kto tego dnia jej pomógł. Kto pomógł także sobie. Tu, po lewej są drzwi. Otwórz je i zejdziesz. Pomyśl obiektywnie chłopcze. Potem będziesz mógł wrócić do domu i wszystko wróci do normy. Wszystko będzie takie, jakie być powinno. Chociaż spróbuj.

Mateusz niechętnie oderwał wzrok od postaci w dole i obejrzał się. Korytarz kończył się ścianą, nie było już wyjścia. Po prawej stronie znajdowały się drzwi. Podeszedł do nich i wyciągnął rękę. Chwycił klamkę. Czyżby Bezimienny rzeczywiście ich oszukał?

Matka! Jak to jest mieć mamę? Mama... mamusia... matula... Mateusz obracał w myślach te słowa pieszcząc dźwięki, delectując się ich brzmieniem, smakując w ustach, podziwiając barwę. Co to za uczucie przytulić się do matczynej piersi, poczuć jej ciepłą dłoń gładzącą włosy, twarz?

Otworzył drzwi. Z klatki schodowej wtargnął chłód.

Mateusz zadrżał z zimna. Nagle jego wnętrze wypełnił lód. Przekroczył próg, lecz tknięty przeczuciem zatrzymał się. Drobną, ciepłą myśl nienależącą do niego prześlizgnęła się przez zdrętwiały umysł.

- Czemu to robisz?

Zaskoczony pytaniem Antoine, zastanowił się.

- O ludzi warto walczyć. Mogę wam wiele dać. Idź, nie masz czasu.

- Ale...

- Idź już! Zrób to.

Mateusz zdecydował, cofnął się i zamknął drzwi.

- To byłby objaw pychy i braku pokory... - powiedział - podnoszenie ręki na Boga! Nie możemy rościć praw do obdarowywania siebie szczęściem.

- Bóg?!!! – zawołał -Istota, którą masz tylko po to, aby nienawidzić?
Co on ma z tym wszystkim wspólnego? Zresztą Boga już nie ma.

- To był Jego plan.

- Uwierzyłeś Bezimiennemu... - mruknął pogardliwie.

- Tak, bo tylko on dał mi wybór. Uszanował moją wolę, pozwolił mi z niej skorzystać. Ty wyboru nie dajesz. To tylko pozory.

- Pozory?! Pozwól, że coś ci wyjaśnię. Jestem tu, ponieważ stanowią część człowieczego istnienia, to ja warunkuję dobro. Dobro to wolność i ja właśnie teraz daję ci szansę uczynienia dobra, naprawienia chociaż części świata, który was wypłuł i pozbawił najlepszego.

- Mówisz „wy”, „człowiek”... Mówiłeś, że jesteś jednym z nas.
Kłamiesz, robisz to cały czas.

- Głupcze! Jestem tu od czasu pierwszych ludzi, i oni wybrali nie Boga, lecz mnie, lub tysiące bóstw, które dla was stworzyłem. Nie jesteś w stanie mnie odrzucić, bo jestem wśród was od zawsze. Powiedz mi, dlaczego? Jestem lepszy od Boga, bo daję wam prawdziwy wybór, możliwość zaakceptowania siebie i wszystkich swoich uczuć. Pozwalam ludziom robić to, co chcą. Uczyń dobro, człowieku, pozwalam ci na to.

Mateusz wciąż widział w myślach kobietę zmierzającą do drzwi kościoła, wyobrażał jej twarz, widział siebie wyciągającego do niej rękę, ujmującego jej zziębnięte dłonie. Słyszał słowa, które do siebie wypowiadają. Chciał uratować ją i siebie.

Nagle pomyślał o Malwinie, co stanie się z nią, gdy on odejdzie? Jaką decyzję podejmie, kiedy otrzyma wybór uwięziona w iluzji Antoine'a? Czy wtedy spotkają się?

Nie mógł tego znieść, chciał zejść tam, spotkać swoją matkę, choć wiedział, że to pułapka. Chciał wrócić do Malwiny, choć wiedział, że to już niemożliwe. Chciał uciec, chciał...

- Ucieknę tobie.

- Ha, ha! Stąd nie możesz uciec – odparł drwiąco. - Masz tylko jedną drogę.

- O tym właśnie mówiłem, Antoine – powiedział Mateusz patrząc na ścianę odcinającą jedyną drogę ucieczki. - Ale ja wiem, dokąd idę. – Poruszył się gwałtownie w miejscu, jakby z wahaniem, po czym runął w kierunku okna, odtrącił zdumionego Antoine'a i skoczył. Z brzękiem szkła poleciał w dół uderzając o ulicę. Nie krzyknął.

- Głupiec – warknął Antoine.

Krew zabarwiła śnieg purpurą.

Malwina podniosła głowę. Łzy spływały obficie po policzkach. Klęczała trzymając na kolanach głowę nieprzytomnego Michała. Gdy znalazła go, leżał bez ruchu w kałuży krwi. Wzięła chłopca na plecy i z wysiłkiem doniosła do końca korytarza, tam poczekała na Mateusza, wołała go, lecz się nie odezwał. W końcu wyniosła Michała z tunelu. Miała nadzieję, że Mateusz wkrótce się pojawi.

Zostaw go i idź szukać Mateusza, rozbłysło jej w głowie, chłopakowi pomóc już nie można, ale wciąż możesz pomóc sobie.

Czyj to głos?, pomyślała, czując narastającą panikę. Pozwól sobie na ucieczkę, czy nie masz tego dość? Mogę pokazać ci świat, w którym wciąż będziesz mogła odczuwać, dam ci to z powrotem. Bo przecież tego właśnie chcesz, prawda? Pozwolę ci naprawić największe krzywdy, które wyrządził tobie świat.

Malwina pomyślała o ojcu, o jego uśmiechu, który po raz pierwszy zobaczyła mając siedem lat. Oblesny, lubieżny uśmiech, który ją zniszczył. Nigdy już się nie wyzwoliła spod jego władzy. Przez ostatnie

lata widywała go codziennie; każdego wieczoru, każdej minuty. Czy można to wszystko cofnąć? Czyją mocą?

Tyle lat. Wszystko odwrócić...

Może przez ten cały czas chciała zemścić się na ojcu, odmawiając mężczyznom tego, co najważniejsze? Tego, czego i on nigdy nie doznał. Pragnęła odebrać im szansę na poznanie prawdy o niej, dając w zamian nic nie wartę ochłapy. Ale oni właśnie tych ochłapów szukali, a ona coraz bardziej się wyniszczała. Pozwalała pluć na siebie, spalała swoje życie kawałek po kawałku, nie zemściła się jednak, nie doszła do momentu, w którym mogłaby się pogodzić z przeszłością. Pragnąc ją naprawić, zniszczyła przyszłość. W końcu nie zostało nic do zrobienia; zrozumiała to dopiero teraz. Skończyła się.

Największą krzywdę wyrządziła sama sobie, tego nikt nie jest w stanie odwrócić.

Nie miała już w sobie nadziei.

Mogę ci to dać, zimne słowa uporczywie wsączały się w otępiałe myśli, pójdz za mną. Odejdź stąd.

Wszystko mi jedno, pomyślała zrezygnowana, wszystko mi jedno; to już nie ma znaczenia; dla mnie nie ma wybawienia. Za późno.

Łzy spadały na twarz Michała.

Nagle podniosła ze zdziwieniem oczy. Nieopodal pojawił się Bezimienny. Obcy chłód pierzchnął z myśli.

- Wszystko stracone – powiedziała bardziej do siebie niż do niego – Michał z tego nie wyjdzie, zaraz będzie koniec. Odejdzie najbliższa mi osoba. W imię czego?! Mateusz się zniknął, pewnie stało się z nim to samo, co z Michałem. Nie zrobiliśmy nic. Nie znaleźliśmy tego, co chciałeś. Pozwól mi odejść. Może znajdę Mateusza, może chociaż on żyje.

Bezimienny podszedł.

- Nie znajdziesz go. Nie ma już Mateusza.

Nie odpowiedziała od razu. Łzy popłynęły nową falą.

- Chcę odejść... Mam dość.

Ciałem Michała wstrząsnęły dreszcze, w końcu znieruchomiał i opadł bezwładnie na ziemię.

- Boże... Dlaczego? Kto mu to zrobił? Czym on zawinił? – Skryła twarz w dłoniach i zaniosła się płaczem. – Przyszliśmy tu po śmierć.

- Wyrzec się siebie, to jeszcze nie jest śmierć.

- A co jest potem? Gdzie idziemy, gdy wszystko się kończy? Chciałabym się tam znaleźć. Tam, gdzie jest Mateusz... – Wstała i spojrzała na Bezimiennego. Możesz sprawić, abym... zasnęła?

- I zrobiłabyś to? Dobrowolnie?

Skinęła głową.

- Wiesz, czym jest miłość? – Jego głos zmienił się. Wziął Malwinę za rękę.

Ten głos... tak bardzo znajomy... bliski..., myślała dziewczyna.

Zamknęła oczy i zaczęła się lekko chwiać na boki.

- Powiedz.

- „Lubię dni szare

Rozmodlone w ciszy mgieł

Lubię echo śpiewów anielskich

Strużkami pary płynących pod niebem

Lubię gdy deszcz...

Gdy smutek

Stać na skrzyżowaniu dróg i widzieć jak długa asfaltowa ulica

Niknie

Zdawałoby się

W chmurach”

Głos ucichł, a Malwinie zdało się, że został w tyle, że odpływa od niego coraz dalej i dalej...

Słabła, z ledwością trzymała Bezimiennego za rękę. Otworzyła oczy, zdobywając się na nikły uśmiech.

- Już wiem. Miłość to nadzieja... – wyszeptała zbielełymi wargami – że... tam będziemy razem. – Bezwładnie osunęła się na ziemię.

Jej serce przestało bić.

Nagle stała się rzecz dziwna. Bezimienny zgiął się w pół. Z oddali zaczęły napływać pojedyncze strużki świetlistej mgły. Przybliżyły się do skulonej postaci i wbiły się w nią, wypełniając skrytą pod płaszczem postać. Trwało to dosyć długo. Światła było coraz więcej, podpełzało pianistymi falami. Rozrywało wstrząsaną epileptycznymi drgawkami istotę. Wtem wszystko ustało. Lśniąca poświata rozlała się wokół ciemnej sylwetki. Wyprężył się gwałtownie i eksplodował światłem. Stał z rozciągniętymi rękami kipiąc krwistoczerwoną lawą. Blask rozchodził się na wszystkie strony oświetlając czarne masywy budowli. Zdawało się, że płomienna kula na chwilę pochłonęła Bezimiennego.

Z cichym okrzykiem runął na ziemię.

Płomienie zniknęły pod płaszczem.

U wyjścia tunelu niespodziewanie pojawił się Antoine. Na jego twarzy gościł triumfujący uśmiech.

- To koniec. Nie ma już żadnego z nich, czuję to. Ona poddała się ostatnia. Pozostaliśmy sami. I przegrałeś, Bezimienny.

Podniósł się ciężko z ziemi.

- Tak, to już koniec. – Ciemna postać zdała się być o wiele większa, w głosie brzmiała siła. – Ale dowiedziałem się, czego mi brakowało.

- Tak? – Wzruszył ramionami.

- Wiesz, łączyła ich jedna wspólna rzecz...

- Mów – odparł lekceważąco Antoine. - Mów póki możesz, bo już niedługo wszystko tutaj obróci się w nicość. Wraz z tobą.

- Byli trzema elementami tego samego, chociaż nie mieli o tym pojęcia. Ukrywali w sobie najcenniejsze, jak wszyscy tam, w dole. Patrzą wokół siebie, ślepi na to, co kryją wewnątrz. Potrzebowali impulsu, który pomógłby im przejrzeć. Michał stał się uosobieniem prostego i bezinteresownego umiłowania. Może nie do końca je sobie uświadamiał, ale darzył ludzi uczuciem czystym i wielkim. Potrafił pokochać także swoją ułomność i przyjąć los, który otrzymał.

- Zaufał uczuciu, które go zgubiło.

- Mylisz się – uciał Bezimienny. - Malwina natomiast pragnęła miłości zwyczajnej. Łaknęła bliskości, intymności i wyłączności.

- I dlatego sprzedawała swe ciało? Bzdura! – Antoine drwił. – Była zwykłą dziwką! Szukała tylko usprawiedliwienia dla swych grzesznych skłonności.

- Była skrzywdzoną, zagubioną i samotną kobietą. Szukającą w sobie tej resztki kobiecego uczucia, której nie dostrzegali już mężczyźni, i to właśnie Mateusz zobaczył w niej delikatność i wrażliwość. W nim pozostała pokorna miłość do wszystkich opuszczonych i odrzuconych. Zaakceptował Malwinę taką, jaka była. Przez krótką chwilę poczuł to w niej, a ona przywróciła mu wiarę w coś o wiele ważniejszego. W to, czego się tak obawiasz, Antoine.

Mężczyzna poruszył się niespokojnie.

- O czym ty bredzisz?

mogli ocenić, kim jest, Malwina zawołała:

595

9595

9595

9595

9595

9595

9595

9595

9595

9595

9595

9595

9595

9595

9595

9595

9595

[illegible]

Bóg nieodmiennie jest miłością. Najczystsza i nieskalana. Bóg to uczucie doskonałe, akceptacja i umiłowanie człowieka takiego, jakim jest. Bezinteresowne przyjęcie jego życia we wszystkich przejawach. I tego mi brakowało. Bez miłości byłem tylko naczyniem, okaleczoną karykaturą Boga, ale dzięki tej trójce poznałem ją. Stałem się bogiem pełnym.

- Widziałem cię. Jesteś pustką ukrytą pod płaszczem.

- Mylisz się – odparł Bezimienny i ściągnął kaptur. Antoine cofnął się o krok.

- To... niemożliwe. – Przerażony nie mógł uwierzyć własnym oczom, ponieważ patrzył w spokojne oczy kalekiego Michała, widział jego zdeformowaną twarz. Nagle kształty zamazały się i zobaczył również Malwinę, jej gładkie rysy, pełne, rozchylone usta; uśmiechała się. Zawył, gdy po chwili w tym samym miejscu rozpoznał twarz Mateusza.

Zdruzgotany mężczyzna zrozumiał.

Patrzył w oblicze Boga.

- Nie pomyliłeś się tylko w jednym: to koniec, Antoine.

- Nie... nie... - bełkotał mężczyzna machając rozpaczliwie rękami.

- Poznaj płomienną moc miłości mojej. I jej ogień, który oczyszcza.

– Bezimienny uniósł dłonie, na których rozbłysły purpurowe języki ognia. Antoine odwracał wzrok od gorejących oczu. Zaczął uciekać. Nagle potknął się i upadłszy na ziemię, skulił. Bijąca blaskiem postać uniosła się. Rodziła się nowa potęga; troje zmartwychwstało w jednym, jeden żył w trojgu. – Wracaj do otchłani! – Donośny głos odbił się od pobliskich budowli i wtedy wszystko eksplodowało niknąc w morzu płomieni. Hucząca fala ognia porwała Antoine’a i rzuciła nim poza krawędź pustki. Jego wrzask krańcowego przerażenia utonął po chwili w nabożnej ciszy.

Wszystko się uspokoiło.

Nastąpił nowy początek.

Na początku była Forma, a Forma była u Boga i Bogiem była Forma.

Często widzę pewien obraz.

Jest wiosenny dzień, cichy i bezwietrzny. Kipiący feerią barw i woni odradzającej się przyrody. Z drzew wiśni znajdujących się w pobliskich ogrodach sypią się białe kwiatki. Biała jest też suknia kobiety stojącej w drzwiach. Gdy na nią patrzę muszę mrużyć oczy z powodu oślepiającego słonecznego blasku odbijanego przez materiał.

Zebrani wokół ludzie rzucają w powietrze garście ryżu. Słyszę śmiechy i nagłe bicie dzwonów. Z wieży zrywają się ptaki. Koło kobiety stoi mężczyzna w czarnym fraku. Obydwoje są młodzi i tak szaleńczo radośni. Ona odwraca się powoli plecami do ludzi i wyrzuca w powietrze bukiet kwiatów.

W tym miejscu czas zawsze się zatrzymuje. Patrzę uważnie na zawisły w powietrzu bukiet i zastanawiam się, gdzie spadnie, kto go złapie. Patrzę na pęczek śnieżnobiałych róż przewiązanych złotą wstążką i wyciągam z nadzieją dłonie...

Dziś po raz pierwszy scena potoczyła się dalej.

Już wiem, kto złapał kwiaty.

Zmienia się wszystko, lecz dla ludzi jakby nic wielkiego nie nastąpiło, ich życie toczy się nadal zwyczajnym tempem, z małymi wzlotami i upadkami oraz walką o sens życia, o miłość..., więc wojna w korytarzach będzie trwać nadal. Ktoś prędzej czy później upomni się o ludzi, to pewne. I zamierzamy o nich walczyć, bowiem jesteśmy bogiem zazdrosnym i mściwym.

Stoimy na progu świata, w jednym z korytarzy wychodzących na niebieską planetę. Wszędzie wokół jest kolorowo, zieleń miesza się z wszystkimi kolorami tęczy. W korytarzach wreszcie rozkwitła wiosna.

Umarli mają twarze i serca z kamienia, pomyślała cząstka boga,
która niegdyś, przed początkiem czasu, była Mateuszem, lecz zmienimy
to, ofiarujemy im nowe życie...

Wyciągamy ręce i patrzymy przed siebie, na malutki przedmiot w
dłoniach..., na nasz dar dla umarłych – bukiet białych róż.

KONIEC

Rumia, kwiecień – maj, 2002.